# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

**Zmiana adresu kosztuje 40 hal.**

**Ceny ogłoszeń:** za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

**REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.**
**ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).**
**Telefon Nr. 479.**

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

**Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

**Rok XIII.** **Kraków, 16 września 1916.** **Nr. 38**


# Tryumf współczesnej techniki.



Odjazd okrętu podwodnego „Deutschland“ z przystani.

**Treść numeru:** Legiony nad Stochodem. — Zamęt wojenny na Bałkanach. — Sezon wojenny w Krynicy. — Wojna a dusza dziecka. — Ze szpitala obrony krajowej w Nowym Sączu i t. d.

## Tryumf współczesnej techniki.

Obecna wojna światowa w jednym kierunku oddziałała niewątpliwie dodatnio; mianowicie, wzmogła niesłychanie wynalazczość i pomysłowość geniuszu ludzkiego w dziedzinie techniki. Przedewszystkiem zaś ośmieliła niejako techników-wykonawców do szybkiego i dokładnego kroczenia po drodze wynalazków już dokonanych. Wiele pomysłów, rozstrzygniętych tylko w zasadzie, znalazło podczas wojny urzeczywistnienie; inne, już przedtem wykonane, wydoskonalone zostały w sposób przechodzący wszelkie oczekiwania samych wynalazców.

Z pomiędzy tych „wojennych“ wynalazków technicznych największe zdobycze poczyniła żegluga powietrzna i podwodna. Kilka lat temu zwykły lot powietrzny aeroplanem poczytywany już był za czyn niesłychanej dzielności i odwagi; dzisiaj lotnik wykonywuje w powietrzu wszelkie wzloty, wzlata z nad wody i „ląduje“ na wodę lub na okręt, lata sam lub z kilkoma pasażerami, wiezie ze sobą na aeroplanie bomby, armatki i karabiny maszynowe, z których strzela, wznosi się wśród ognia dział i gradu pocisków, stacza w powietrzu walki z innymi lotnikami — słowem poczyna sobie w powietrzu z taką pewnością, jakby to był jego żywioł przyrodzony. — A łodzie podwodne, które kilka lat temu były zaledwie w „próbach“, odbywały najwyżej kilkudziesięcio kilometrowe podróże i przeznaczone były tylko do obrony wybrzeży własnych, przed najazdem obcych pancerników — teraz wypuszczają się na olbrzymio dalekie przestrzenie, atakują na otwartem morzu całe floty — słowem znowu zdobyły dla człowieka żywioł wodny tak, jak aeroplan — powietrzny.

Ale te bojowe okręty podwodne nie wykonały jeszcze całego zadania statków podwodnych, nie nawiązały stosunków między kontynentami, nie wyznaczyły w głębi wód szlaków, którymi dotąd jeździły statki nadwodne. I oto Niemcy, którzy w ciągu całej wojny wzięli i trzymają prym w wynalazczości i śmiałości wykonań w dziedzinie żeglugi, zarówno powietrznej, jak podwodnej — i ten jej brak postanowili uzupełnić. Ponieważ izolacyjna blokada morska Anglii odcięła ich zupełnie od stosunków z Ameryką, postanowili przez głębiny wód wysłać podwodny okręt do Nowego Świata, aby urzeczywistniła się już zupełnie fantazya Juliusza Verne'a z jego „Nautilusem“.

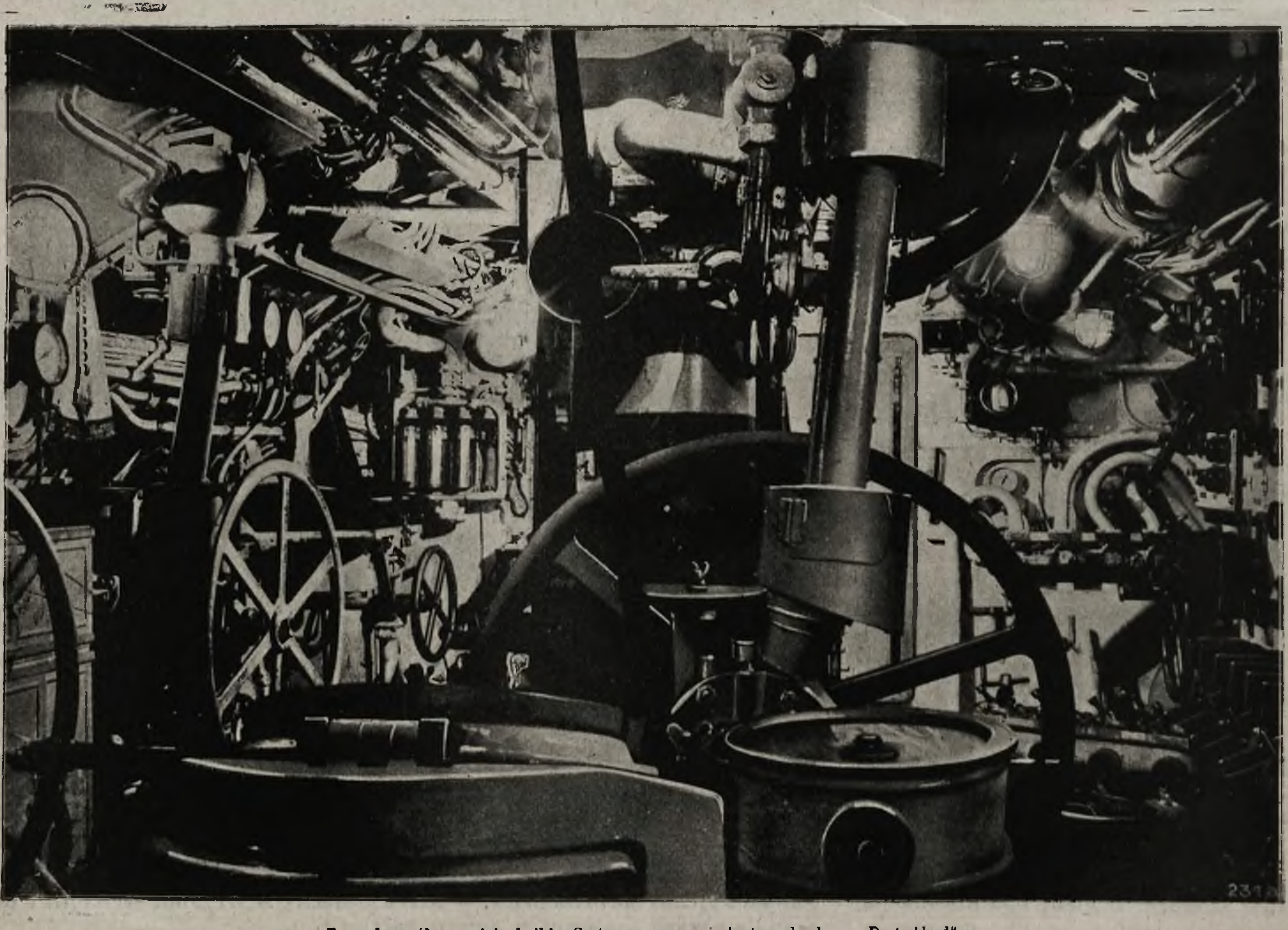
Podróż, którą słynny już obecnie w całym świecie okręt podwodny „Deutschland“ odbył pomiędzy Bremą i Nowym Jorkiem oraz z powrotem między Baltimorą i Bremą jest rzeczywiście jednym z czynów może najpiękniejszych i uwagi godnych także dla przyszłości, których dokonała pomysłowość i wytrwałość ludzka podczas obecnej wojny. — Przebył on tam i z powrotem cały ocean Atlantycki z pełnym ładunkiem towarów, wśród setek polujących nań i czyhających, aby go zatopić, statków wojennych francuskich i angielskich. Sam był nieuzbro-





**Legiony nad Stochodem:**

Izba chorych na linii; przed ziemianką lekarze dr. Stępowski i dr. Badecki. — Podpułkownik Norwid z adjutantem przed siedzibą komendy.. pułku.



**Tryumf współczesnej techniki:** Centrum maszyneryi okrętu podwodnego „Deutschland“.

jony — pokładał zatem nadzieję tylko w zręczności swojej załogi i doskonałości własnej budowy.

Nadzieja ta go nie zawiodła, bo też oparta była na solidnych podstawach. „Deutschland" jest okrętem podwodnym wspaniałym — (wogóle z terminologią „łodzie" podwodne należy dawno się rozstać, mają one wszystkie wymiary okrętów). Przy długości kadłuba sześćdziesiąt pięć metrów — a zatem równej prawie Sukiennicom krakowskim — ma on blizko dwa tysiące ton pojemności i może zabrać ośmset ton czyli paręset wagonów ładunku towarów, a przytem porusza się z szybkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Zbudowany ze stali, podzielony jest wewnątrz na siedm odrębnych części przegrodami nieprzenikliwemi dla wody, zatonie więc nie łatwo; nad kadłub wystaje wieża-pomost, używany podczas żeglugi nadwodnej. Oczywiście, że cała maszynerya „Deutschland", warunkująca jego ruchliwość i całe wogóle „życie" tego statku-wieloryba, jest silna, wytrzymała i doskonała; nie darmo



**Sezon wojenny w Krynicy**: Członkowie chóru Legionistów. (Fot. ks Makłowicz).

warsztaty okrętowe „Germania" w Kielu, w których „Deutschland" zbudowano, odbywały z nim przedtem w ciągu sześciu miesięcy próby, z których okręt wyszedł zwycięsko; inżynier Lohmann, pod którego kierunkiem go budowano, pracę swoją wykonał su miennie. Załogę „Deutschland" stanowi dwudziestu ośmiu ludzi — oprócz kapitana siedmiu ludzi na stanowiskach kierowniczych — oficerów, inżynierów i maszynistów, oraz dwudziestu jeden żeglarzy.

Imię przywódcy statku, kapitana Königa, jest od tygodni na ustach wszystkich. Był on bohaterem dnia zarówno w Ameryce, jak w Niemczech, gdy przybył do Bremy, tryumfalnie witany po swojej wspaniałej podróży. I słusznie, bo dokonał czynu który pozostanie w pamięci potomnych nawet wtedy, gdy imiona bohaterów czysto orężnych okryje zapomnienie. Gdy bowiem narzędzia i przyrządy niszczące z czasem staną się może niepotrzebne, ten tryumf współczesnej techniki z czasów wojennych jest jedną z trwałych zdobyczy dla dobrobytu przyszłej ludzkości, którego znaczenie przetrwa, choć wojna, która go zrodziła, ustanie.



**Rowy strzeleckie w parku dra Jordana**: J. E. komendant fortecy krakowskiej, marszałek polny porucz. Lukas z jeneralicyą i delegatem drem Fedorowiczem podczas zwiedzania rowów.

## Rowy strzeleckie w parku dra Jordana.

Jedną z głównych atrakcyi festynu, urządzonego staraniem wojskowości i prezydyum miasta Krakowa w parku dra Jordana dla uczczenia ośmdziesiątej siódmej rocznicy urodzin cesarza Franciszka Józefa, były rowy strzeleckie zupełnie takie same, jakimi cały kraj nasz jest przeorany. Znajdujemy tu wszystko to, w co prawdziwy rów strzelecki na polu walki jest wyposażony, są tu: karabiny maszynowe, w dniu festynu funkcyonowały nawet zupełnie autentyczne kuchnie polowe. — Zwiedzający mieli więc złudzenie, że znajdują się na terenie walk,



**Legiony nad Stochodem**: Karabin maszynowy na pozycyi w lesie.

zwłaszcza, że spotykali się tutaj z również prawdziwymi Moskalami, których użyto do robót i posługi.

Rowy te pozostały do dziś, publiczność zwiedza je bardzo chętnie, przenosząc się myślą w te strony, gdzie walczą w takich samych rowach strzeleckich jej najbliżsi. Opłata za zwiedzanie rowów przeznaczoną jest na fundusz opieki wojennej nad żołnierzami armii i Legionistami.

Illustracya nasza przedstawia komendanta fortecy krakowskiej, marszałka polnego porucznika Lukasa wraz z jeneralicyą i delegata namiestnictwa dra Federowicza, podczas zwiedzania rowów. Objaśnień udziela kapitan inżynieryi, ich twórca.

## Sezon wojenny w Krynicy.

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych").

Z pośród wszystkich zdrojowisk wojna najbardziej może odbiła się na Krynicy... Kto przebywał tutaj na kuracyi czy wypoczynku za dawnych dobrych czasów pokojowych, byłby zdumiony spokojem tegorocznego sezonu... Na deptaku nie przygrywa orkiestra, w wielkiej sali domu zdrojowego, która dawniej rozbrzmiewała odgłosem hucznych zabaw — grobowa cisza i wogóle nad całem życiem Krynickiem zawisł jakiś smętek... Sama Krynica nie straciła jednak na uroku, bo właśnie słabą jej stroną była dotychczas zbyt wielka frekwencya i rozgwar życia niemal wielkomiejskiego... W obecnym sezonie, kto pragnął ciszy i wypoczynku wśród pięknej przyrody i w warunkach możliwie najwygodniejszych — z pewnością nie żałował swego pobytu w Krynicy... Przybył też tu na odpoczynek po denerwujących naradach politycznych prezes N. K. N. prof. Jaworski, a spędzali tu na wywczasach lato i inni członkowie N. K. N., jak poseł German i prof. Wojciechowski.

Choć cicho tu było i spokojnie, choć brakło hucznych zabaw, ale zato pulsowało inne życie, będące odbiciem wielkiej chwili obecnej... Krynica stała się w roku obecnym jedną z większych stacyi wypoczynkowych dla Legionistów. W urządzonym wspaniale zakładzie dra Skórczewskiego założono dla nich





W pochodzie przez las wołyński. **Legiony nad Stochodem**: Obozowisko w lesie.

schronisko, w którym przebywa kilkuset Legionistów, a wśród nich kilkudziesięciu oficerów z majorem Żymirskim na czele... Wszędzie snuły się szare mundury, a szczęśliwe kuracyuszki nie mogły w tym kalnych, bo należy tu nadmienić, że przebywający na wypoczynku w Krynicy Legioniści utworzyli doskonały chór i nawet orkiestrę, które występowały z powodzeniem na koncertach... wycieczek, wieczorków, koncertów i obchodów. — Świetnie udał się zwłaszcza urządzony przez Ligę obchód 6 go Sierpnia. Rano odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele parafialnym, a o godzinie



Chór Legionistów podczas próby koło kościoła.



**Sezon wojenny w Krynicy:** Orkiestra Legionistów pod kierunkiem p. Kaczmarczyka (X). (Fot. ks. Makłowicz).

roku narzekać na brak przedstawicieli rodzaju męskiego w Krynicy...

Piękną misyę otoczenia opieką Legionistów podjęła z całą energią miejscowa Liga Kobiet. Należy tu podnieść z uznaniem pracę Wydziału Ligi, w skład którego wchodzą p. p.: dr. Aleksandra Biesiadzka (przewodnicząca), J. Beblowa (zastępczyni przewodniczącej), J. Nowotarska (sekretarka), Z. Kossowska (zastępczyni sekretarki) i Stefania Michalikowa (skarbniczka). Założono przedewszystkiem czytelnię i herbaciarnię dla Legionistów, na co uzyskuno piękny lokal w sali kawiarnianej domu zdrojowego. Fortepian, gazety, a od godziny szóstej wydawane podwieczorki, gromadzą tam codziennie tłumy Legionistów, którzy przepędzają mile czas, bądź na czytaniu dzienników i pogawędce, bądź przy dźwiękach fortepianu i wogóle na produkcyach muzyczno-wokalnych...

Wogóle sezon wojenny w Krynicy płynął pod znakiem Legionistów, czego wyrazem były urządzane przez Ligę w Czytelni dla Legionistów środowe zebrania towarzyskie, które cieszyły się znacznem powodzeniem, gromadząc po dwieście i więcej osób z pośród gości kąpielowych. Deklamacya, produkcye wokalno-muzyczne Legionistów, a wreszcie poczta składały się na program tych sympatycznych wieczorków.

Poza herbaciarnią krynicka Liga kobiet starała się też w miarę sił i środków spieszyć z pomocą materyalną potrzebującym Legionistom. Wyruszającym w pole wydawano zapomogi, zaopatrywano ich w ubranie i obuwie, na co do chwili obecnej wydano przeszło trzy tysiące koron, nie licząc wydatków na herbaciarnię.

Środki na ten cel czerpała Liga z urządzanych wycieczek...

3-ciej po południu w wielkiej sali domu zdrojowego zebranie towarzyskie w połączeniu z koncertem. — Obchód zakończył się uroczystym wieczorem w sali teatralnej, na program którego złożyły się: Przemówienie posła Germana, deklamacya p. Bendy, pieśni żołnierskie, wykonane przez chór Legionistów, oraz „Warszawianka" Wyspiańskiego, odegrana przez artystów teatru.

Na zakończenie tego krótkiego sprawozdania z tegorocznego „wojennego" sezonu w Krynicy należy wspomnieć i o kampanii teatralnej p. Dantego Baranowskiego, który zjechał tu na sezon letni z Zakopanego. — Teatr jego, dając przedstawienia w głównym rzędzie z repertuaru swojskiego, cieszył się powodzeniem zarówno wśród gości kąpielowych, jak i Legionistów, dla których był nader miłą rozrywką.





**Sezon wojenny w Krynicy:** Wydział krynickiej Ligi kobiet i goście na terasie Czytelni dla Legionistów w domu zdrojowym. 1. Major Żymirski, 2. prezes N. K. N prof. Jaworski, 3. poseł German, 4. przewodnicząca Ligi dr. Aleksandra Biesiadzka

**JÓZEF LASOŃ.**

# Tajemnice starego dworu.

(Opowieść z walk Legionu na Wołyniu).

4

X.

...Bitwa!

Bezustannie grzmią armaty, bateryе ciężkich i polowych dział pracują bez przerwy. Koncentruje się ogień sześciu bateryj rosyjskich na okopy Legionów, pociski druzgoczą zasieki kolczaste. Salwami wyrzucane z luf armatnich pociski uderzają raz w okopy, drugi w rezerwy.

We dworze gałuzińskim kwateruje komenda pułku. Wokoło trzęsie się ziemia od wybuchów pocisków, pękają w górze szrapnele; świst odłamków przelatuje ponad głowami żołnierzy, raniąc lub zabijając niekiedy. Chwilami, gdy przycicha ogień armatni, zjawiają się aeroplany; rzucając bomby lub strzelając z karabinów maszynowych krążą ponad linią i rezerwami. — Na widnokręgu widać balony nieprzyjacielskie kierujące ogniem armatnim, obserwujące pozycye lub rezerwy. Karabiny maszynowe rozsiewają daleko w las śmiercionośne kule. Czasami wypuszczony gaz trujący smugami znaczy się po ziemi, kłębami coraz wyżej unosząc się w górę. — Żołnierze nawdziewają maski chroniące na twarze, jedyny ratunek. Tam, gdzie przejdzie gaz trujący, nie prędko zazieleni się trawa, zakwitnie kwiat, wypuści drzewo pączki...

Zaprzągnięto wszystkie „maszynki wojny" w tej bitwie. Gardziele miotaczy min wypluwają okropne pociski, wielkie ohydne garnki, rozszarpujące miejsce upadku i cokolwiek na niem się znajduje. Z aeroplanów padają czterdziestofuntowe miny zatrute, od których najmniejsze zranienie grozi śmiercią. — Artylerya, bateryе przeróżnych kalibrów wyrzucają potworne „kuferki", olbrzymie granaty ekrazytowe, o niewymownej sile niszczycielskiej. Huragan ognia karabinów zwyczajnych, maszynowych, granaty ręczne, rakiety, gazy trujące dopełniają piekła bitwy. — Żołnierz obojętnieje, jak skazaniec na wszystko. Nie widzi przed sobą nic, prócz wroga.

Rozbito w puch zasieki kolczaste przed okopami. Ogień armatni, trwający całą dobę blizko, dokonał dzieła zniszczenia. — Wreszcie artylerya przycicha i oto — nieprzyjaciel się czai. Szemrze coś w okopie, dźwięczy bagnetem, gotuje się do ataku. Wybitą drogą przez zasieki widocznie przejść zamierza.

Nagle z okopu rosyjskiego wylewa się lawa żołnierska, mrowisko szare, wezbrany strumień górski. Ostry głos komend — potem urra! urra! — krótko, urywanie, przeogromne zbiorowisko żołnierskie krzyczy, masą sunąc na okopy.

W palbie karabinów ręcznych, w terkocie maszynowych, w ogniu artyleryi nie słychać krzyków rannych. Jak kosą ścięte łany pszeniczne, kładą się szeregi nieprzyjacielskie. Wyrastają kupy ludzkie, niby snopki zboża, w które od czasu do czasu armatni pocisk wpadłszy, rozbija je w puch. Pułk za pułkiem rosyjski wyrusza do ataku. Wybity pierwszy następuje drugi — na okopie jeden i ten sam żołnierz stoi i odpiera nieprzyjaciela.

Komenda pułku wre od gorączkowej pracy. — Ordynansi rozbiegają się na wszystkie strony. Lekarz pułkowy opatruje spokojnie rannych, bada chorych. Nie przerywa jego spokoju ryk dział, świst kul, gwizd odłamków szrapneli. Oto twarze oficerskie nabrały srogości bitwy, rozeszkliły się oczy, zacięty uporem usta, pomarszczyły czoła od skupionej myśli.

— Melduję — linia przerwana. Moskale przedarli się na bagna, w sile jednej kompanii.

Błyskawicznie pchnięto trzeci batalian na bagna, odcięto drogę dalszym kompaniom rosyjskim, osaczono tą, która się przedarła.

Żołnierz rosyjski walczył uparcie. Osaczony nie poddawał się. Wystrzelał wszystkie naboje, zapadnięty w bagno po tułów, bronił się karabinem. — Trzeba było brać jeńca na białą broń.

Wreszcie atak odparto.

Wieczorem zapalili Rosyanie Wólkę Gałuzińską. Kończył się dzień czwartego lipca.

Noc...

Ustały ryki armat, palba karabinowa trwa dalej... Rakiety rozświetlają linię, udaremniają nieprzyjacielskie zabiegi.

We dworze światła przygasły, czuwają warty. Przemknie się pośród pokoi przygarbiona postać adjutanta, brzęknie szabla dyżurnego oficera, stuknie karabin wartownika.

Nagle pośród sadu drzew owocowych wychyla się w świetle księżyca schylona postać jakaś. — Głowa pochylona ku ziemi, wypatruje czegoś, szuka.

— Stój! Kto idzie?

Postać przystanęła, odpowiada:

— Swój!

Następuje wymiana hasła i odzew.

— Kuba-m — objaśnia wartownika zatrzymany — z pierwszej brygady.

— Cóż tam robicie?

— Z meldunkiem przybyłem do Maniewicz, a stamtąd tu, grobu szukom dziedziców.

— Grobu?

— A tak!

— Jakiego? Gdzie?

— Tu gdzieś dziedziców zakopano! Panicz przed śmiercią zlecenie dał. Posiekali Kozacy w strzępy, pochowali; kopytami końskimi stratowali — żali się głos Kuby.

— Trudno znaleźć!

— Muszę!

— Chyba w dzień!?

— Zaczekam! O świcie śladów szukać pocznę. Może tu w sadzie, może przed dworem.

— Nie wiecie pewnie?

— Nie!

— A kto może wiedzieć?

— Chyba — po namyśle mówi Kuba — ten dwór! Kozacy, ha, pohulali, wymordowali, ciała zakopali Bóg wie gdzie! Ale szukać będę...

— Trudno! Zostanie to tajemnicą...

— Tak, tego dworu! — mówi Kuba — I tych, co mordowali!

— — — — — — — — — — — —

Odwrót!...

Ostatnie schodzą Legiony z pozycyi, dziesięciokrotnie osaczane przez wroga, przebijają się bagnetem. Powoli pustoszeje Gałuzia, opróżnia się dwór. Pozostaje opustoszały, aby znów, jak kostnica przyjąć najeźdźców. Ale już ni żywej duszy niemasz tam. Pociski armatnie poczerniły mu dach, kule powybijały okna, ściany porysowane od granatów.

Samotny dwór...

Nikt nie czeka w nim na najeźdźców, ani się ich nie lęka. Miast ozdób, portretów na ścianach zaschłe smugi poczerniałe, kto wie, może to krew mordowanych.

Ściany pokoju porysowane, poszczerbione kulami. Jakie okropne przedśmiertne rozgrywały się tu sceny — kto wie?...

Pozostało to tajemnicą starego dworu.

— — — — — — — — — — — —

Legiony opuszczają Gałuzię...

Jeszcze jedno spojrzenie na stary dwór, jeszcze jedna krwawa łza Kuby, dwór znika nam z przed oczu.

A kto wie, czy wróciwszy — nie zastaniemy tam tylko zgliszcza i gruzy. Bo zemsta wroga nie oszczędza nic i nikogo.

— — — — — — — — — — — —

Dziś we dworze znów Kozacy...

I kiedyś po wojnie opustoszały dwór, zamknąwszy w sobie swoją tajemnicę, omijany będzie przez ludzi, niby zamek zaklęty, w którym duchy wieczną pokutę czyniąc — odkupują winy.

I wyrośnie legenda, że kozackie rycerstwo, dzwoniąc kajdanami, na klęczkach snuje się po pokojach dworu, szukając poległych ciał... i znaleźć nigdy nie mogąc...

I to będzie tajemnicą starego dworu!...

KONIEC.

**B. Z. Lubicz.**

# W odwrocie.

— Wejść!

A jeśli śmierć wejdzie? Wiatr szumi i deszcz chlupie żałośnie. Jeśli drzwi się otworzą i w nich bagnety nieprzyjacielskie błysną? Ręką ujął brauning i czekał, wstrzymując oddech.

— Wejść!

Lecz nikt nie wszedł. Wówczas przyczaić się chciał. Wtulił się w barłóg i rękoma gniótł obolałe, spuchnięte kolana. Czuł dotkliwy ból fizyczny i cieszył się z tego. Rad był chwilowemu zapomnieniu, które ten ból przynosił. Lecz, gdy wiatr uderzył w ziemiankę i drzwi się zatrzęsły, zapomniał o bólu fizycznym i znów widział ją, śmierć swoją, stojącą za ścianą.

— Wejść! — szepnęły usta. — Wejść! — powtórzył głośniej, lecz nikt nie wszedł. Wówczas osłabłe ciało chciał dźwignąć, zerwać z barłogu, lecz nie mógł, nie podołał — przeraził się perspektywy cierpienia. Bał się poruszyć. Lekko, sprawnie, muśnięciami nerwowych rąk masował kolano i śmiał się cicho, boleśnie. Myślał o żonie i dziecku małem, różowiutkiem, w kołysce... To nic, to nic! To przejdzie... Ja się nie boję — wmawiał w siebie, lecz coraz bardziej uginał się pod ciosami bólu i dygotał wewnętrznie.

Do brudnej, zawszonej słomy tulił się coraz beznadziejniej. Gorączką zatlonem wejrzeniem patrzał w drzwi i czekał. Liczył sekundy, które recytował zegarek. Coraz silniej, coraz namiętniej ściskał rączkę brauninga.

— Raz, dwa, trzy...

— Raz, dwa, trzy...

— ...raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... — powtarzał — Gdy doliczy do dwudziestu — wejdą oni! — I znów zaczynał liczyć od początku.

— Raz, dwa, trzy...

I tak w kółko.

Nikt nie wchodził. Zaczął więc rozumować, przypominać fakty, wiązać je ze sobą, żmudnie budować wnioski. Rozleniwienie ogarniało go, lub wręcz przeciwnie, przez ciało przebiegał prąd nerwowy, idący z mózgu. Zerwać się wówczas chciał i biedz — lecz upadł pod brzemieniem bólu. I tak naprzemian. Gorączkował. W pewnym momencie przyszły doń wizye — wspomnienia.

...Zaczęło się to po południu. Przynosili rannych, a on ich opatrywał. Cicho, zręcznie, pracowicie zabiegał koło rannych, Obandażowywał ręce, piersi, nogi i głowy. Paru mu przyniesiono z ranami postrzałowemi w brzuch. Ostatnich kilku było kłutych bagnetami. Dobrem słowem uciszał jęki. Obandażowanych odsyłał do szpitala polowego. Brakło podwód, noszy, ludzi do dźwigania rannych. Więc opatrzonych układał na prawo od miejsca opatrunkowego, oni w szereg się rozwinęli długi, coraz dłuższy.

Ilu ich było? Nie liczył. Nie miał czasu. Niektórzy z nich jęczeli, niektórzy byli jak umarli, leżeli cicho, spowinięci w białe bandaże. Na tych w wolnych chwilach zwracał uwagę i cieszył się, gdy na białej gazie dostrzegł plamy krwi. Żyją!

Na lewo miał odradzający się, niezwalczony szereg nowych, nieopatrzonych jeszcze. Leżeli na gołej ziemi, przyzywający go usty, wzrokiem i widokiem swych ran. Więc spieszył się. Aż uporał się! Ostatniego rannego opatrzył i opuścił zemdlone ramiona. Tuż koło niego, nachylając się nad nim, stał wysoki porucznik-Legionista i coś mówił, lecz on nie był w stanie zrozumieć ani jednego wyrazu. Słowa zdawały się schodzić z ust bezdźwięcznie i wciskały się w mgłę — w przestrzeń.

Gdy się odwrócił i sięgnął wzrokiem w krąg, ujrzał i poznał kapitana. Stał na wzgórku z karabinkiem w ręku i wydawał rozkazy. Dotyczyły one rannych. Ostatni wóz naładowany ponad wszelką normę, odjechał. Dwaj szeregowcy, spiesząc się widocznie, z ładnie ułożonego szeregu porwali oficera, położyli go na prowizoryczne nosze, na które złożyły się szynel i dwa karabiny i ponieśli. W szeregu została luka... Wówczas poczęły gwizdać kule, Z sykiem padając pod nogi, zagrzebując się w piasek, rzekłbyś płacząc niecierpliwie i gniewnie.

Zgłosił się do niego sam, o własnych siłach, ranny kulą karabinową w prawą łopatkę, którego ten opatrzył. Stał się znów automatem i czekał z gazą w ręce na nowych. Znów coś krzyczano na niego, lecz on nie rozumiał. Żołnierze na rozkaz kapitana zaczęli znosić rannych do poblizkich ziemianek. W moment uprzątnęli ich... Patrzał na to niechętnie, jakby działa mu się krzywda wielka, straszna

Gdy zabierali ostatniego rannego, chciał podejść i pytać „po co?“, lecz zrozumiał: chodziło o ukrycie rannych przed pierwszą wściekłością żołnierzy, których krwawo kosztowało zwycięstwo. Część żołnierzy cofała się. Jakaś kompania jednak tuż przed nim rozwinęła się w tyralierkę i siała ogniem. Gęsto, nerwowo padały strzały. Gwizdały coraz częstsze i kule nieprzyjacielskie. Nad laskiem, na prawo, pękały szrapnele.

I wówczas to doktór zapatrzył się na młodego młodziutkiego strzelca, który z dziwnie rozbłysłemi oczyma bez przerwy nabijał i strzelał. Usta wązkie, zaciśnięte surowo. Mała opalona dłoń w równych odstępach czasu sięgała do ładownic. Nerwowo, lecz rytmicznie, dokładnie wykonywał dzieło śmierci. Jak automat był... A zresztą nie! Nie jak automat, gdyż automat nie ma w oczach przebłysków śmiechu, usta mu skurczem płaczu nie drgają, ręka lekko nie drży, twarz nie spłonie niecierpliwością, lękiem i rozpaczą, gdy nie znajdzie nabojów w ładownicy.

Wiedział, obserwując, że ten moment przyjdzie — i przyszedł. Ostatni raz wzrok strzelca rozbłysnął radośnie i zgasł, zmętniał. Rękę bądź co bądź pewną, żołnierską, widoczne drżenie opanowało. Cofnął się o pół kroku i trwożnie patrzał na rzędy Moskali, którzy wyrastali z lasku, tyralierką rozłożyli się na piasczystym terenie i o trzydzieści kroków zaledwo od niego skakali przez kępy łąki.

Patrzał i widział, że załamuje się hart, pewność, decyzya żołnierska. Chwilkę tylko... Już w następnej twarz stała się surową, zakrzepłą i jakiś cień przeleciał przez nią i zatrzymał się i zastygł. Drżąca jeszcze nieco ręka za bagnet chwyciła i na pochylony karabin wtłaczać poczęła. Usta pół ironiczny uśmiech wykrzywił — „Urra!! Urra!!“ — spłynął gromki okrzyk rosyjski. Osadził się mocno, usta otworzył... chciał krzyknąć... Nie zdążył. Zachwiał się, zrobił pół kroku w tył, potem krok naprzód i padł twarzą na piasek. Upadł na karabin i bagnetem zadzwonił o kamień. Leżąc, nieżywy już, ściskał kolbę i lufę, której już strzał z jego ręki nie rozgrzeje.

Doktor patrzał i wiedział, że już się dokonało, że tego, co zrobiła mała kula rosyjska, nie odrobi już jego wiedza lekarska. Następną kulą został ranny on, doktor. Uczuł straszny ból w kolanie; w całem ciele jakby ukłucie tysiąca igieł, w głowie zamęt i mgłę w oczach, jakby czarne i szare zasłony ktoś kolejno przed nim przeciągał. Nie zemdlał. Wył z bólu i dlatego może zachował przytomność. Słaniał się, a gdy upadł, czołgać się począł z jedną myślą, z jednym nakazem: — „do ziemianki!“ Przypomniał sobie scenę uprzątania rannych z rozkazu kapitana. Uprzytomnił sobie obronny gest telefonisty dobijanego kolbami. Odświeżył w pamięci inne momenty widziane, drażniące.

Czołgając się tulił głowę niemal do ziemi samej. Przed sobą widział próżnię — tentent słyszał za sobą. Bał się odwrócić, by nie ujrzeć tuż za sobą kolby lub bagnetu. Coraz bliższe było to nienawistne, przeklęte „urra!“ rosyjskie.

Gdy wczołgał się wreszcie do ziemianki, ujrzał, że jest w otoczeniu rannych, których sam bandażował. Było to ostatnie spostrzeżenie jego; ostatnia myśl. Padł na słomę i zemdlał. Gdy się obudził, słuchał rzężenia rannych i począł oczekiwać śmierci. Jak dotąd bezskutecznie.

— — — — — — — — — — — — — —

— Wejść! — powtarzał z uporem, co czas pewien, głośniej lub ciszej. Lękliwie i głośnie lub szeptem rzucał wezwanie, lecz nikt nie odpowiedział. Zatem cieszył się — cieszył, że go nie usłyszano, że zdobył się na to, na co powinien był się zdobyć, a jednak... śmierć nie weszła... Kto wie? Może i nie wejdzie wcale... Może ciężkie jej kroki dudnią hen za laskiem saperskim?!

Zwolna, zwolna usypiała czujność i zmęczenie nadmierne snem się kładło na mózg. W oczach tańczyły jeszcze skry, lecz zmartwiałe, gasnące, jak ciężkie krwi ciężarem i ciężarem ołowiu skrzydła rannego ptaka, opadły powieki. Ręka zamarła na rękojeści broni. Ranny spał.

Aż raptem ten mocny stuk w okno. Poderwał się na słomie, lecz upadł znów na wznak. Ręką zawadził o jakieś ciało. Poznał, że nieżywe, ręką z przyzwyczajenia puls i bandaż na brzuchu namacał — więc cofnął się. Z kąta patrzyły na niego gorejące oczy.

— Kto?

— To ja, Klimczak!

— Ranniście? — pytał.

Ranny seplenił:

— Tak... — wyrzucał ze siebie sylaby, które się z trudem układały w słowa — Dok...tor... mnie... opatrywał... ale... nic... z tego.. Umrę... Pić się chce...

— A tam? — poruszył głową w stronę drzwi i okna.

— Oni... Nie rozumiem... Już byli i poszli... Teraz znów... A może...

— Co może?

— ...Może to nasi?

Oczy chorego rozbłysły na moment jakimś specyalnym blaskiem...

Doktor próbował rozumować... Czyżby Legioniści? Zdala słychać było strzały. Czyżby kontratak na utracone pozycye? A może to ci z reduty cofają się teraz, lub jaki inny oddział otoczony, przebija się na bagnety. Strzały zamilkły, lecz przez rozbitą szybę okna wraz z zimnym wiewem nocy szedł klangor, na który się składało sakramentalne „urra“, krzyki „zdajsia!„ „dierży!“ jakiś łomot, bieg nóg i uderzeń ciosy.

W ziemiance była cisza. Atmosfera duszna, pełna łez niewypłakanych i nieujawnionych krzyków. Klimczak rzęził; dogorywał szybko. Próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł. Nie mógł się wysłowić. Groza oczekiwania rozpostarła się z kąta w kąt, stała się na mózgi, serca, w nerwy tych ludzi rannych, nieobronnych, oddanych na łaskę i niełaskę bezwzględności i okrucieństwa wojny. Doktor, który był przytomny, zazdrościł nieprzytomnemu Klimczakowi.

Umierający nie słyszał boju, który wrzał za lekką przegrodą ziemi i desek. Nie oczekiwał gości, którzy nadciągali z wzrastającym krzykiem i hałasem.

— A może to tylko przywidzenie? Fantazya chorego mózgu? Halucynacya?

— Klimczak? Czy wy słyszycie? Odpowiedzcie Klimczak! Choć słowo... Słyszycie?

Przeraził się, gdyż dogorywający zaczął odpowiadać! Nigdy przedtem nie sądził, że tak boleśnie jest słuchać... Jakby ktoś kamienie walił mu na szarą masę mózgu.

— Doktorze... Alarm.. Wstawajcie!... Ja tu... Uciekajcie! Rynsztunek... gdzie rynsztunek?! Alarm...

Słuchał. Cały w słuch się zamienił. Lecz z ust rannego nieartykułowane dźwięki teraz płynęły. — A potem umilkły.

Inne dźwięki natomiast przyszły nieproszone. — Bieg jakiś i głuche nawoływania i krzyki: „Zdajsia!“ i nagłe, rozpaczne krzyki dobijanych ludzi. Zaś tło: gęsta, nieprzerwana haratanina strzałów karabinowych. A potem znów łomot nagły i huragan nieoczekiwanych dźwięków...

Rozumował — pomimo wszystko — rozumował: Oczekiwał śmierci, tulił się w panicznym strachu do słomy i jednocześnie próbował jałowem rozumowaniem oślepić lęk, dać woli ochłonąć i odzyskać prężność...

Skąd się wzięły te dźwięki wszystkie, których jeszcze przed sekundą nie było? Nie! Były one wszystkie i wiele innych jeszcze — tylko nieujawnione, uśpione, taiły się w ciszy, by się rozpętać nagle. Kto wie, jakie jeszcze dźwięki, jakie wypadki rozpęta wojna?

— Potencyalna energia — szepcą suche usta — przetworzona wreszcie.. A rezultat...

I raptem cisza.

Poruszył się i znów dotknął trupa, w kącie zaś ziemianki nie dojrzał już rozpalonych oczu rannego. I ten umarł! Trupy! Trupy! I wydała mu się ta ziemianka pełna trupów. Spazm go chwycił. Dygotał na całem ciele. Przezwyciężył strach bolu, więc i ból mu przezwyciężyć łatwo było. — Z barłogu ciężko się zwlókł i mozolnie czołgać się jął do drzwi ziemianki. Głową i ramieniem je pchnął, otworzył i sycząc z bolu, potoczył się na piasek. Za sobą usłyszał krzyk tego, którego miał za umarłego, a który się bał samotności:

— Doktorze! Ja się boję! Boję!

Drzwi zatrzasnęły się same i krzyk ustał.

W lesie dogorywała noc. — Wśród zawodzenia wichru wydawało mu się, że słyszy grzmot oddalającej się kolumny. Było to przywidzenie zapewne. Chciał biec, lecz nie mógł stać nawet. Nogę miał zdrętwiałą, spuchniętą i bezwładną. Nie czuł bolu. Podźwignął się i pomagając sobie rękoma, dowlókł się do parkanu, okalającego ziemiankę, z trudem podważył pręt, wydarł go ziemi i innym, z którymi był połączony, oparł się mocno i prostując się zwolna, zrobił skok, potem drugi... Posuwał się naprzód. Zrazu niezmiernie wolno, z przestankami, potem raźniej. Chciał dogonić kolumnę. Gdy się zmęczył, krzyknął: „Hej — hej!“ — lecz już w następnym momencie się przestraszył.

— A co, jeśli to są wrogowie?

Uświadomił sobie, że nie ma rewolweru — został na słomie w ziemiance. Gdy się namyślał, czy ma wrócić, usłyszał za sobą głosy. Mocne, rosyjskie przekleństwo rozbrzmiało tuż za jego plecami. Począł skakać szybko, mozolnie, nie oglądając się za siebie. Wreszcie potknął się i upadł. Padając przewrócił się na bok i na chorą nogę. Gdy otworzył oczy, ujrzał za sobą czarne smugi dymu, poprzerzynane krwawemi wstęgami płomieni i okolone złotemi skrami.

To paliły się ziemianki... a w nich — ranni!

Miał wciąż wizyę maszerującej kolumny Legionistów. Szła za nimi śmierć. — Postępowała krok w krok za nimi, wydzierała im każdą piędź ziemi, o którą rozpaczne staczali boje, raziła ich z karabinów maszynowych... Widział..

Niemoc go zdławiła raptownie i przywarła do ziemi, z której dolatywał go odór krwi. Powieki przywarł do ziemi, lecz widział. Tak dobrze jak nigdy.

Widział kolumny rosyjskie, spieszące na pomoc przednim strażom i śmierć drugą, okropniejszą jeszcze, idącą z tyłu i dobijającą rannych. Z jękiem spróbował podnieść się z ziemi.

Słupy czarnego niesłychanie dymu podnosiły się coraz wyżej. Pomiędzy ziemiankami przesuwały się cienie.

Na niebie rozwłóczoną była ruchoma wstęga, składająca się z poszczególnych czarnych plam.

— To kruki... Na żer!... — pomyślał i zamknął oczy. Zemdlał. Nazajutrz podnieśli go sanitaryusze rosyjscy.

KONIEC

ST. SZCZWIECKI

## Legiony nad Stochodem.

Stochód, czy też, jak na dawnych mapach polskich można spotkać, Stochat (że nad brzegiem stochat stało), nieznany przed wojną dopływ również nie zbyt głośnej Prypeci, dziwnie głośną rzeką, zwłaszcza w Polsce, stał się podczas obecnej wojny. Obficie i wielokrotnie spłynęły ciche jego nurty krwią walczących ze sobą żołnierzy i przedewszystkiem krwią polską. Już po raz drugi bowiem stanowi on linię graniczną między obozem armii rosyjskiej i jej przeciwników, a za każdym razem między obrońcami tej linii od strony moczarstw centralnych znajdują się Legiony polskie. One to stanowią straż na tej linii bojowej, którą Stochód wykreśla i odpierają na nie; ataki wielokroć przeważającego wroga, zadając mu straty najcięższe. Że jednak przytem i krew obrońców płynąć musi — jest zupełnie zrozumiałem.

Powoli i spokojnie płynie wśród nizkich, bagnistych brzegów Stochód w niedługim zresztą biegu.



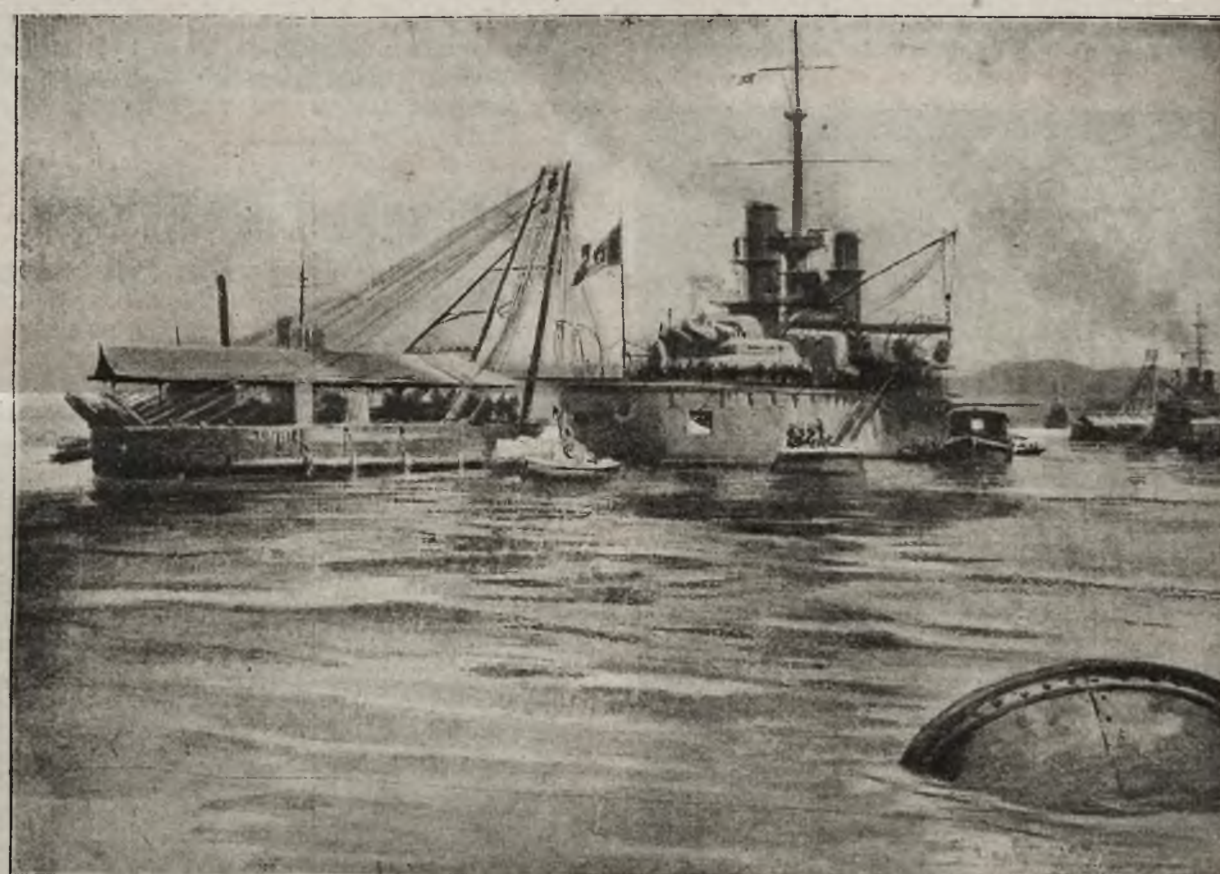
**Zamęt wojenny na Bałkanie:** Premier rumuński Bratianu „autor" wojny.

Szumią nad nim nadwodne trzciny i polatuje gnieżdżące się w nich błotne ptactwo — a raczej tak było niegdyś. Teraz głośniejsze i groźniejsze nad nim rozlegają się dźwięki i innego rodzaju żywe istoty przesuwają się między szuwarami. To żołnierz przekradający się cicho, aby wybadać na drugim brzegu stanowiska nieprzyjacielskie; za chwilę pada strzał, później salwy, wreszcie powietrze rozbrzmiewa dział hukiem — i „krwawy" Stochód nowe niesie trupy na swych spokojnych nurtach...

Obecne swe stanowiska na linii Stochodu zajęli Legioniści po osiągnięciu początkowem przez ofenzywę rosyjską pewnych sukcesów, które się zakończyły zdobyciem Łucka. Cofanie frontu wojsk mocarstw centralnych po odwrocie z pod Łucka na odcinku Legionów, które kryły odwrót armii, zakończyło się na linii Stochodu. Tu stanęli Legioniści mocną nogą, zaraz zaczęli się okopywać i stworzyli wkrótce linię obronną, nie łatwą do przerwania. —



**Zamęt wojenny na Bałkanie:** Pancerniki francuskie przed wybrzeżem greckiem.



**Zamęt wojenny na Bałkanie:** Lądowanie materyału wojennego w Salonikach.

Przekonali się o tem wkrótce Rosyanie, którzy nie dali Legionom długo odpoczywać na nowych stanowiskach. Wielokrotne rosyjskie szturmy, przygotowane huraganowym ogniem armatnim i wykonane





**Legiony nad Stochodem:** Kucharz sztabu pułkowego wydziela obiad dla oficerów. Okopy pierwszej legionowej linii obronnej.



**Legiony nad Stochodem:** Wyrwa w ziemi od granatu rosyjskiego.

przy rzucaniu olbrzymich mas piechoty, spełzły na niczem. Legiony nie tylko broniły się, ale przecho-




**Medal legionowy Lewandowskiego:** Strona z popiersiem Piłsudskiego.

dziły same do tak skutecznych kontrataków, że dwukrotnie, a po raz pierwszy w ciągu wojny, wspomniały o Legionach oficyalne komunikaty naczelnych kierownictw armii. Musiały to zatem być zmagania i czyny bojowe nielada, których świadkiem był nieznany przedtem, a teraz głośny i krwawy Stochód.

## Medal legionowy Lewandowskiego.

Dzieje, czyny i ludzie Legionów Polskich uskarżać się nie mogą na brak odbicia w sztuce. Wbrew twierdzeniu, że „umrzeć musi w życiu, co ma ożyć w pieśni“, Legiony i ich bohaterowie od samego ukazania się na widowni opiewani są przez artystów zarówno słowa, jak pędzla i dłuta. Zwłaszcza uznany twórca wojenny Legionów, Piłsudski, cieszy się popularnością w polskiej twórczości artystycznej ostatniej doby. Jednym z wybitnych jej dowodów jest też wykonany przez znanego rzeźbiarza polskiego St. Lewandowskiego, medal Piłsudskiego, symbolizujący i gloryfikujący zarazem orężny czyn Legionów. Po jednej jego stronie jest twarz wodza, uderzająca charakterystyką, którą możnaby nazwać monumentalną, przy zachowaniu podobieństwa rysów.

Na odwrotnej stronie medalu przedstawił Lewandowski postać niby świętego Jerzego, w stroju młodziutkiego Legionisty ze skrzydłami husaryi polskiej, trzymającego przed sobą tarczę z orłem polskim i literą strzelców S. Na prawej i lewej stronie wbite w ziemię miecz i kopia, u nóg świętego Jerzego zabity smok. Z „Przedświtu“ Krasińskiego wyciągnął artysta motyw do napisu: „Prawem naszem Zmartwychwstanie — Dziś lub jutro dasz je Panie“. U spodu data 6 — 8 — 1914 dzień wstąpienia Strzelców na ziemię polską pod moskiewskim zaborem. Medal wykonany z precyzyą jest jakoby




**Medal legionowy Lewandowskiego:** Symboliczna postać Legionisty.

pendent do wykonanego już przez Lewandowskiego medalu „Dla poległych.“

## Wojna a dusza dziecka.



**Wojna a dusza dziecka:** 11-letni malarz na wystawie wiedeńskiej przed swoim obrazem „Zdobycie Lwowa“.

Potężne i grozą przejmujące zjawisko obecnej wojny światowej oddziaływuje wszechstronnie i różnorodnie na dusze ludzkie. Oczywiście jeszcze więcej oddziaływuje na wrażliwe dusze i wyobraźnie dzie-



**Wojna a dusza dziecka:** Utwór 11-letniego Antosia Franza „Ofenzywa pod Gorlicami“.



**Rehabilitacya pokrzywy:** Żołnierze przy robocie nad pokrzywami



**Legiony nad Stochodem**: Samotna mogiła sierżanta szóstego pułku Rudolfa Czarneckiego.



**Legiony nad Stochodem**: W rowie strzeleckim przed walką.

cięce, w sposób, który przeważnie dla świata dorosłych pozostaje tajemnicą i tylko czasem jakiś przypadek ukazuje nam nagłym błyskiem to, co się dzieje w świecie dusz dziecięcych w czasie obecnej wojny. Jednym z takich wypadkowych błysków jest zjawisko bardzo młodocianego artysty, którego wojna „odkryła“ we Lwowie.

Rok temu nadesłano komitetowi „wystawy zbiorów sztuki funduszu inwalidów“ we Wiedniu akwarelę „Zdobycie Lwowa“. Komitet akwarelę przyjął i na wystawie zwróciła ona uwagę. Autorem był jedenastoletni uczeń lwowskiej szkoły realnej Antoni Franz, w którym zdobycie Lwowa i wogóle wypadki wojenne wyzwoliły niejako wcześniej ukryty niewątpliwy talent, a współczucie dla jej ofiar wywołało chęć przyjścia im z pomocą w miarę sił. Powodzenie jednego dzieła pobudziło młodocianego artystę do wykonania nowego, zatytułowanego „ofenzywa pod Gorlicami“, które ofiarował autor na Czerwony Krzyż. Podajemy reprodukcyę tego obrazku, zdradzającego w przyszłym bataliście zacięcie malarskie, jako ciekawy objaw oddziaływania wojny na młodociane dusze.

## Rehabilitacya pokrzywy.

Wojna obecna oddziałała na wszystkie dziedziny życia społecznego w sposób nieoczekiwanie wszech-



**Legiony nad Stochodem**: Legionista w masce przeciw gazom, miotający granat

stronny, przedewszystkiem zaś na dziedzinę gospodarczą. Zwłaszcza zaś w mocarstwach centralnych, którym blokada angielska odcięła niezbędny dowóz wielu najpotrzebniejszych produktów, zarówno przetworów, jak surowców, oddziaływanie wojny na życie gospodarcze jest szczególnie wybitne. Tak naprzykład nie mamy teraz zupełnie bawełny, której plantacye znajdują się, jak wiadomo, w krajach o cieplejszym klimacie — w rosyjskiej Azyi środkowej,



**Z podróży arcyksięcia Leopolda Salwatora po galicyjskim terenie naftowym**: Arcyksiążę z otoczeniem przed największym szybem w Borysławiu. (Fot. B Lieberman w Borysławiu)





Poranna toaleta Legionistów pod .. **Legiony nad Stochodem:** Obóz drugiego pułku piechoty Legionów.



**Ze szpitala obrony krajowej w Nowym Sączu:** Starszy lekarz legionowy dr. Kucharski, przydzielony do szpitala.

w Egipcie, w południowych stanach Ameryki północnej i tak dalej. Wobec tego, aby nie stanął zupełnie tak silnie rozwinięty, zwłaszcza w krajach monarchii austryackiej, przemysł tkacki i, z drugiej strony, aby zabezpieczyć ludności niezbędną ilość materyałów na odzież i bieliznę — trzeba było obejrzeć się za innym surowcem na tkaniny tego rodzaju — przytem surowcem swojskim. W tej potrzebie przypomniano sobie przeklinaną i pogardzaną a w istocie poczciwą pokrzywę, posiadającą tęgie włókna, z których już kiedyś wyrabiano u nas różne materye, dopóki nie wyparła ich „zagraniczna" i tańsza bawełna. — Teraz zrehabilitowano pokrzywę, a w c. i k. armii pospolitacy gorliwie zbierali tę na szczęście rozpowszechnioną roślinę, aby ją następnie można było poddać dalszej przeróbce — na koszule i letnie pantalony.

## Ze szpitala obrony krajowej w Nowym Sączu.

Legiony w formacyach armii austryackiej zaliczone zostały do obrony krajowej, to też ranni i chorzy Legioniści w kraju znajdują leczenie i opiekę w szpitalach obrony krajowej. Jeden z takich znaczniejszych szpitali znajduje się w Nowym Sączu, leczy się w nim i jego filiach wielu Legionistów. Niedawno podaliśmy zdjęcia Legionistów rekonwalescentów z filii w Krynicy, obecnie zamieszczamy illustracye przedstawiające życie Legionistów chorych i rannych w ostatnich walkach na Wołyniu, w głównym szpitalu w Nowym Sączu, gdzie troskliwą opieką otaczają ich: komendant szpitala, odznaczony już złotym krzyżem zasługi dr. Sikorski, Krakowianin i przydzielony do szpitala starszy lekarz legionowy dr. Kucharski.



**Ze szpitala obrony krajowej w Nowym Sączu:** Najmłodszy i najstarszy Legionista w szpitalu. 64-letni Legionista sierżant Zdunek, 15-letni Legionista starszy żołnierz R. Żiżieniecki.



**Ze szpitala obrony krajowej w Nowym Sączu:** Grupa rannych i rekonwalescentów Legionistów z ostatnich walk na Wołyniu. (X) Sztabowy lekarz dr St. Sikorski, (XX) starszy lekarz dr. T. Kucharski.



**Ze szpitala obrony krajowej w Nowym Sączu:** Sztabowy lekarz dr Sikorski, komendant szpitala.

GEORGES MEIRS.

# Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

6

— Niechże pan chociaż uważa na siebie i nie pozwoli się zamordować — ostrzegł go pan Gallmore.

Dreszcz przerażenia przebiegł po obecnych, a markiz da Santa Cruza odwrócił się od progu i rzucił niedbale.

— Niema najmniejszej obawy, kochany panie. Zresztą noszę zawsze przy sobie cacko, które mnie uchroni od każdego niebezpieczeństwa.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni niewielki rewolwer i pokazując go panu Gallmore, dodał z uśmiechem.

— Nie życzyłbym nikomu spotkać się ze mną na odległość pięćdziesięciu kroków.

Po wyjściu markiza długie milczenie zaległo w salonie. Słyszałem jak udał się na chwilę do swojego pokoju, poczem zamieniwszy kilka słów z strzegącym głównego wejścia ajentem, wyszedł na ulicę.

— Gorąca krew płynie w żyłach naszego markiza — zauważył po jakimś czasie pan Gallmore.

Lecz nikt nie odpowiedział na ten żart. Stłumione, urywane szepty krążyły dookoła stołu, a pani Donay i pułkownik Ricotte naprożno usiłowali zawiązać z gośćmi swoimi więcej ożywioną i ogólną rozmowę.

Profesor Schoetten również nie zwrócił uwagi na ostatnie słowa pana Gallmore. Od chwili wyjścia markiza da Santa Cruza zaobsorbowany był silnie szelestem, który go dobiegał z za okna. Z początku sądził, że to wiatr porusza gałęziami drzew w ogrodzie, lecz kiedy szelest stawał się coraz wyraźniejszy i uporczywszy, zrozumiał, że poza oknem dzieje się coś anormalnego.

Po raz pierwszy szmer ten uderzył go w chwili kiedy markiz, tłumacząc się bólem głowy, żegnał towarzystwo i natychmiast zrozumiał. że wyjście to nagłe kryje jakąś tajemnicę. Ale profesor Schoetten był upartym człowiekiem. Zdecydowawszy się raz, sam, bez współudziału władzy, zająć się swoją sprawą i teraz nie wtajemniczył nikogo w przypuszczenie, zamieniające się już w pewność niezbitą i nie pożegnawszy nikogo, dyskretnie wysunął się z salonu. Pobiegł spiesznie do swojego pokoju i drżąc z niecierpliwości i chęci sprawdzenia przypuszczeń, owinął się w płaszcz szeroki i wybiegł na ulicę.

Nie było w zwyczaju staruszka wychodzić o tak spóźnionej porze, tembardziej, że dnia tego odbył już dwugodzinną przechadzkę, celem uspokojenia się. Podniecony nowemi wrażeniami, zapomniał o zmęczeniu i męczącym go reumatyzmie i jak dwudziestoletni młodzieniec pełen sił i zdrowia, rzucił się w pogoń za markizem.

Znanym jest wszystkim mieszkańcom Paryża, lasek Vincennes, ulubiony cel ich przechadzek i zabaw letnich.

W tej porze roku jesień bogactwem barw swoich ciepłych złociła już szczyty drzew smukłych, na których gdzieniegdzie zapalały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Półmrok szary obejmował cieniste aleje lasku, a dalsze ścieżki, wijące się pośród drzew, tonęły już w zupełnej ciemności.

Gdzieniegdzie spóźnione pary, szukające tu za dnia samotności i nastroju, przesuwały się szybko, zamieniając jeszcze ostatnie przysięgi i słowa miłości, a dozorcy automatycznym i powolnym krokiem mierzyli drogę, zwracając uwagę na bieg automobilów i powozów powracających do miasta. Zmęczeni i złudzeni całodziennym krążeniem po lesie, nie czuli się w obowiązku czuwania nad gąszczami i zaroślami, które noc głęboka obejmowała w panowanie swoje. Elektryczne światło bijące od wielkich latarń i turkot powozów rozpraszało ich nudę.

Dwóch z nich, prowadząc psy na smyczy, zdążało drogą od fortu Vincennes ku Saint-Mandé i gawędziło swobodnie, kiedy odgłos donośnych strzałów zatrzymał ich na miejscu.

— Oh! a tam co nowego — rzekł jeden z nich. Słyszałeś, Marcinie, nieładnie się tam bawią!

— Ktożby jeżeli nie apasze! Oni zawsze mają między sobą jakieś rachunki do załatwienia — odparł drugi.

— Trzebaby jednak zobaczyć co to jest.

— Eh! dałbyś pokój! Najlepiej nie włazić między nich! Pamiętasz jak w zeszłym miesiącu zemścili się na tym biednym Piotrze? Już ja tam wolę trzy mać się od nich z daleka.

— Może masz i słuszność! Chodźmy swoją drogą. — Cały dzień człowiek się nachodzi dosyć, ledwo nogi wlokę już za sobą. —

Pociągnęli opażniające się psy i zeszli na boczną ścieżkę. Tymczasem o kilkaset kroków odgrywała się dziwna scena. Kolo przechadzającej się w zamyśleniu pary, złączonej czułym uściskiem, przebiegł nagle człowiek jakiś, dysząc ciężko. Wybiegł on był z lasu, trzymając jeszcze dymiący rewolwer w ręce i starał się dotrzeć do drogi prowadzącej do Saint-Mandé, kiedy nagle potknął się o sznur niewidzialnie wyciągnięty i całym ciężarem runął na ziemię.

W tej samej chwili dwóch biegnących za nim ludźmi pochwyciło go i skrępowało silnie. Zanim jeszcze tę czynność wykonać mogli, wyłonił się z ciemności automobil i stanął wstrzymany pewną ręką na drodze. Nieznajomi wraz z więźniem swoim zajęli miejsca i maszyna ruszyła, nie wydając najmniejszego szelestu. Stało się to wszystko tak prędko i zręcznie, że zakochani, których przestrach i zdumienie przykuło do najbliższej ławki, sądzić mogli, że stali się igraszką jakiegoś niewytłumaczonego snu. Lecz kiedy nareszcie otrząsnęli się z pierwszego wrażenia i postąpili kilka kroków naprzód, spostrzegli na ścieżce porzuconą rękawiczkę. Chcąc się więc upewnić, że to, co przed chwilą przesunęło się przed ich oczami, było rzeczywistością, a nie urojeniem zmysłów, rękawiczkę tę podnieśli i spiesznie opuścili niebezpieczną ścieżkę.

— — — — — — — — — — — —

Tak, jak było w codziennym zwyczaju, punktualnie o godzinie siódmej, donośny dźwięk dzwonu zawezwał gości pensyonatu „Donay" do stołu. Kiedy wszyscy zeszli się w wielkiej jadalni, zauważono, nieobecność profesora Schoettena i markiza da Santa Cruza.

Po upływie kilku minut niepokój jakiś począł się objawiać pomiędzy zgromadzonymi. Pytającem spojrzeniem spoglądali na panią Donay i pułkownika, jakgdyby oczekując od nich wyjaśnienia. Rozmowa wlokła się leniwie. Za każdym skrzypnięciem drzwi, wszystkie głowy machinalnie zwracały się w denerwującem oczekiwaniu. Pani Donay naprożno wysilała się, aby zwrócić uwagę swoich gości na inne tory. Próżne miejsca przy stole coraz częściej wabiły spojrzenia obecnych, półmiski prawie nietknięte powracały do kuchni.

Nareszcie ktoś śmielszy odważył się wyrazić myśl ogólną.

— Co się stało z profesorem i markizem? Dlaczego ich niema między nami?

Pani Donay zmieszała się lekko.

— Rzeczywiście nie umiem sobie wytłumaczyć ich nieobecności — wymówiła niepewnym głosem. — Może ich jaka ważna sprawa zatrzymała w mieście.

W jednej chwili posypały się przypuszczenia różne. Każdy wypowiadał zdanie swoje, komentując i krytykując, chcąc w ten sposób zagłuszyć niepokój swój i ciekawość. Wokoło stołu zapanował gwar i ożywienie. Krzyżowały się zapytania i odpowiedzi, gdy nagle z brutalnym łoskotem otworzyły się drzwi szeroko i na progu stanął zmieszany służący. Ciężka cisza natychmiast zaległa pokój. Twarze kobiet pobladły lekko, a w oczach wszystkich zabłysnął lęk jakiś — wyczekiwanie.

— Czego chcesz, Henryku? — zapytała słabym głosem pani Donay.

— Proszę pani, przyszedł jeden pan z policyi, ma coś ważnego do zakomunikowania.

Wszyscy zerwali się od stołu, gorączkowo od suwając krzesła i talerze.

— Gdzież jest ten pan? — zapytał pułkownik Ricotte, pochodząc ku drzwiom.

— Idzie za mną,

Służący odsunął się od progu i przepuścił nowoprzybyłego.

Natychmiast wszyscy obstąpili go, zarzucając pytaniami.

— Czy wie pan co się z stało z profesorem Schoetten i markizem?

— Gdzie są?

— Czy spotkało ich jakie nieszczęście?

Ajent, zmieszany cokolwiek, stał chwilę w milczeniu, trzymając rękawiczkę w ręce. Gwar panujący w pokoju, krzyżujące się zapytania i silny blask lamp elektrycznych oszołomiły go, odbierając chwilowo przytomność umysłu. Mrużył szybko oczami, uśmiechając się głupkowato. Postąpił w końcu kilka kroków i składając trzymaną rękawiczkę, położył ją na stole.

— Oto jest! — wymówił krótko.

Lekkie okrzyki rozległy się w jadalni. Pan Wilson, pułkownik Ricotte i pani Donay poznali rękawiczkę. Była ona własnością prof. Schoettena.

— Zkąd pan ma ten przedmiot? — zapytał pułkownik, zbliżając się wojskowym krokiem do ajenta.

Ten na widok pułkownika, którego znał z dawnych lat służby wojskowej, wyprostował się, podniósł głowę i donośnym głosem opowiadać zaczął całe zajście. Jakiś młody człowiek w stanie prawie nieprzytomnym zjawił się w biurze komisaryatu i zdeponował ową rękawiczkę. Mówił o strzałach w lesie Vincennes, pogoni i uwiezieniu jakiegoś człowieka automobilem w kierunku miasta.

— Pan komisarz kazał mi zaraz tę rękawiczkę przynieść tutaj — kończył ajent — bo podobno jest własnością jakiegoś pana, co tu mieszkał.

— Tak jest — odparł pułkownik Ricotte. — Należy ona do jednego z naszych gości, prof. Schoettena.

Oświadczenie to, które przewidywano z góry, przyjęto objawami wielkiego przestrachu i zaniepokojenia.

Pani Donay, blada i drżąca, podeszła do pułkownika i kładąc mu rękę na ramieniu, wyrzekła cicho:

— Czyżby to była nowa ofiara tych bandytów?

— A może ich jest już dwie — odparł pan Gallmore — Markiz da Santa Cruza nie powrócił dotąd.

— Boże mój! Boże! — szepnęła pani Donay, osuwając się bezwładnie na krzesło. — Czy to nie koniec jeszcze nieszczęść naszych?

— Spokoju! Spokoju! — rzekł poważnie pułkownik, zwracając się do otaczających. — Nie denerwujmy się przedwcześnie. Idę natychmiast do policyi i zbadam rzecz całą.

— Będziemy towarzyszyć panu — odezwali się równocześnie pan Wilson i pan Gallmore.

Ale pomimo gorących usiłowań policyi i zabiegów rozesłanych ajentów nie znaleziono śladów zaginionych

Noc całą bez skutku poszukiwano każdy zakątek lasu Vincennes, a przy wszystkich wejściach do miasta ustawiono silne straże.

Profesor Schoetten i markiz da Santa Cruza nie zostali jednak odnalezieni.

Późnym wieczorem tylko zjawił się w biurze komisaryatu urzędnik akcyzy i oświadczył, że około godziny szóstej powóz jakiś na gumach przejechał przez rogatkę i uległ jak wszystkie inne, dokładnej rewizyi. Nie zawierał żadnych przedmiotów podlegających opłacie — wiózł tylko trzech mężczyzn, z których jeden mocno uśpiony leżał na przedniej ławeczce.

Dwaj młodzi ludzie, wytwornie i elegancko ubrani, którzy towarzyszyli uśpionemu, żartowali z jego stanu, nalegając na urzędnika, aby za karę za jego opilstwo nałożył mu stosowną karę.

W urzędniku natychmiast zbudziło się podejrzenie, że tym uśpionym człowiekiem był poszukiwany przez policyę profesor Schoetten, nie mógł jednak skonstatować dokładnie jego powierzchności, bo zmrok już zapadał, a nieznajomy otulony był szczelnie w płaszcz szeroki i miał kapelusz nasunięty na oczy. Zauważył tylko, że nie był skrępowany i odebrał wrażenie, że rzeczywiście pogrążony był w śnie głębokim. Zapisując to zeznanie pan Tancon uśmiechnął się sceptycznie. Znał on już dobrze ten rodzaj snu, zaobserwował go tego samego dnia jeszcze, ujrzawszy uśpionego ajenta, na ubraniu którego niepochwytny Lodovic Marmont, król rzezimieszków, pozostawił swój bilet wizytowy.

Z przykładu tego mógł wnosić, że sen taki trwać może godzin kilka i był pewnym, że bandyci uwożący w powozie swoją ofiarę, w podstępny sposób podsunęli jej narkotyk.

Pan Tancon zażądał od urzędników akcyzy bliższych szczegółów i określenia powierzchowności owych podróżnych, lecz ci nic ważniejszego zeznać mogli. Dodali tylko, że człowiek zajmujący w powozie przednią ławeczkę był silnym brunetem i z ogólnego wyglądu należeć musiał do lepszej sfery.

## „Zielona pieczątka".

Pan Cornet, inspektor policyi, był we wściekłym humorze! Od kilku dni działy się rzeczy, których absolutnie zrozumieć nie był w stanie, a przecież już niejedną niemniej zawikłaną sprawę w zawodzie swoim szczęśliwie doprowadził do rozwiązania.

Kilka godzin Cornet, zamknąwszy się w swojem mieszkaniu, spędził na rozpatrywaniu najdrobniejszych okoliczności, towarzyszących zbrodni w pensyonacie „Donay". W końcu, nie doszedłszy do żadnego dodatniego rezultatu, zniecierpliwiony i upokorzony pobiegł zwierzyć się ze zmartwieniem swojem Wilianowi Tharpsowi.

Tharps w milczeniu, nie przerywając mu, wysłuchał cierpliwie jego wywodów, chociaż wiedziałem, że mógł jednem słowem uspokoić go i naprowadzić na drogę właściwą.

Zauważyłem nawet, że podczas długiego mono-

logu Corneta zdawał się być zajęty zupełnie czem innem, a kiedy nareszcie inspektor przestał mówić, spojrzał na niego, jak człowiek budzący się ze snu głębokiego.

Zachowanie się jego jeszcze więcej zniecierpliwiło rozgorączkowanego Corneta.

— Czy nie pan mi nic do powiedzenia, panie Tharps? — zapytał, widząc, że detektyw wcale nie ma zamiaru przerwać milczenia, w którem się pogrążył.

Tharps spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— A cóż ja bym mógł mieć do powiedzenia panu — odparł spokojnie.

— Ależ panie Tharps! Przez litość! — zawołał nieszczęśliwy inspektor — Jeżeli do jutra nie wyjaśni się cokolwiek w tej przeklętej sprawie — to chyba oszaleję!

— I czy pan sądzi, że ja w tym kierunku coś poradzić mogę?

— Ależ oczywiście. Ja gubię się w domysłach, nie śpię po nocach, straciłem apetyt.

— To szkoda, wielka szkoda! I po co się pan tak gorąco tem wszystkiem przejmuje. Zaręczam panu, że na mnie „sprawa Donay“ żadnego wpływu mieć nie będzie!

— Bo pan musi mieć już wyrobione zdanie o niej, kiedy ja dotąd błądzę jak szalony po lesie i nie widzę wyjścia.

Wiliam Tharps powstał i przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Cóż pana właściwie niepokoi? — zapytał po chwili, stając przed inspektorem — Cóż pan tak nadzwyczajnego widzi w zniknięciu markiza da Santa Cruza i profesora Schoettena?

Cornet spojrzał na niego ze zdumieniem i wahał się zdaniem odpowiedzi. Nie wiedział bowiem, czy Tharps mówi na seryo, czy też żartuje sobie z niego.

— No, panie Cornet? Dlaczego pan nie odpowiada — rzucił zniecierpliwionym głosem Tharps. Cóż w tem pan widzi nadzwyczajnego?

— Ależ... panie Tharps — wyjąkał inspektor — tu wszystko jest nadzwyczajne i niezrozumiałe.

— Dla pana może!... Zniknięcie profesora Schoettena było do przewidzenia. Oczekiwałem go w najkrótszym czasie.

— Pan oczekiwał tego zniknięcia... to niemożliwe, panie Tharps.

— Możliwe, skoro tak mówię.

— Więc pan odgadł już wszystko — przewidział?

Wiliam Tharps uśmiechnął się niedbale.

— Czy sądzi pan, panie Cornet, że próżność przezemnie przemawia? Powtarzam panu raz jeszcze. Zniknięcie profesora Schoettena było przezemnie z góry przewidziane.

Inspektor zerwał się z krzesła. Ruchy miał nerwowe i podniecone. Kilka razy przebiegł pokój, potrącając krzesła i meble, w końcu zatrzymał się przed detektywem i chwytając go za ramię, wymówił gniewnie.

— Więc czemuż mnie pan nie uprzedził, panie Tharps? Byłbym przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, podwoił czynność i tym sposobem uchronił profesora od napadu, którego się stał ofiarą. Mam do pomocy ludzi zręcznych i pewnych. Zabiegi zbrodniarzy nie byłyby uszły ich uwagi.

Wiliam Tharps wzruszył lekceważąco ramionami.

— Myli się pan, panie Cornet — rzekł dobitnie.

— Jakto? — obruszył się inspektor. — Przecież to jasne, że markiz da Santa Cruza obmyślił plan cały! Jego ból głowy był tylko wymówką do wyjścia z pensyonatu. Chciał się pozbyć starego i naprowadził go w zasadzkę.

Wiliam Tharps ziewnął szeroko i lekceważąco, poklepał inspektora po ramieniu.

— To szczególne jednak — rzekł patrząc prosto mu w oczy — jak wy, ludzie z policyi, tracicie rozum chwilami.

Cornet był tak zaskoczony temi słowami, że zapomniał się obrazić. Spojrzał nawet z pewnem uznaniem na Tharpsa. Przeczuł, że to zachowanie się sławnego detektywa kryje myśl jakąś ważną.

— Panie Tharps — zahazardował nieśmialo, chcąc go naprowadzić na wyjawienie tej myśli... przecież to była jedyna sposobność... i przez milczenie pana wymknęła mi się z ręki.

Wiliam Tharps z pewnem zadowoleniem obserwował pomieszanie inspektora.

— Pozwól mi pan zauważyć — rzekł z udaną powagą — że nie wiedziałem wówczas, jaki sprawa przebieg weźmie i w jaki sposób zniknie profesor Schoetten. A przytem, gdybym nawet przedsięwziął jakie kroki ostrożności w tym kierunku, czy sądzi pan, że koniecznem było pana w nie wtajemniczyć?

Pan Cornet opuścił głowę na piersi i westchnął ciężko. Odczuł całą niewłaściwość swojej niedyskretnej ciekawości i lękać się począł, iż może przez to stracić względy Tharpsa.

— Ażeby zaś panu oświetlić cokolwiek sytuacyę — mówił dalej detektyw — muszę się zapewnić, że nic przez te dwa dni ostatnie z tego, co się działo w pensyonacie „Donay“, nie uszło mojej uwagi. Ponadto mogę nawet twierdzić, że wiem, dlaczego i w jaki sposób wypadki te się rozegrały, a jeżeli nie uznałem za stosowne interweniować już pierwej, to dla tej przyczyny, że uważam pospiech w tym względzie za szkodliwy. Poza wypadkami i okolicznościami, które do tego stopnia pana zdenerwowały, iż odebrały panu jasność sądu i widzenia, ja widzę całą olbrzymią uplanowaną doskonale machinacyę, którą pragnę zniweczyć we właściwej chwili.

Wypowiedziawszy te słowa, Wiliam Tharps wstał, dając tem do poznania, że rozmowa zakończona.

Cornet bez słowa powstał również i skierował się do wyjścia. Lecz w przedpokoju oprzytomniał widocznie z przygnębiającego go wrażenia, bo zwrócił się nagle i zapytał:

— Ale wkońcu, co mi pan radzi uczynić — panie Tharps?

To skromne zapytanie, wywołało ironiczny uśmiech na twarz detektywa.

— Niech pan lepiej nic nie robi, kochany panie Cornet — odparł przekonywująco. — W tym wypadku lepsza bezczynność, niż szkodliwa pomyłka.

Kiedy po chwili powrócił do gabinetu, miał wygląd człowieka, nadzwyczaj zadowolonego z siebie.

— Wszystko doskonale idzie! Zaręczam ci, Synhamie, że wszystko idzie doskonale — rzekł zacierając ręce.

— Zdaje mi się, że nie jesteś bardzo wymagający — zauważyłem. — Ja jeszcze nie widzę powodu do zadowolenia.

Tharps pominął moją uwagę i usiadł przed biurkiem.

— Cobyś na to powiedział, mój drogi — odezwał się po chwili — gdybyś był właścicielem kasy, napełnionej złotem, a nie posiadał klucza do otworzenia jej.

— Nie rozumiem cię.

— Byłem i jestem jeszcze w tej sytuacyi. Ale oto rzecz, która, jak mam nadzieję, otworzyć mi tę kasę potrafi.

Mówiąc to, podał mi skrawek papieru, na którym odciśnięta była niewielka pieczątka z zielonego laku.

— Nie rozumiem, jak możesz w tej pieczątce pokładać tyle nadziei — odparłem rozczarowany trochę.

— Zaraz wszystko zrozumiesz, mój kochany. Ten papierek z pieczątką odkryty został przezemnie w pokoju, gdzie zamordowany został pan d' Orwald.

— Oh! oh! Czyby to była...

— Mam wszelkie dane do przypuszczenia, że ten znak tu został odciśnięty pierścieniem tego młodego człowieka.

— Tym tajemniczym pierścieniem?

— Tak, mój kochany, tym pierścieniem, który skradziony został.

Wziąłem do ręki papier z pieczątką i przyglądałem się jej z ciekawością.

Znak odciśnięty przypominał mi bardzo oryginalne rysunki indyjskie. Wyjawiłem to spostrzeżenie mojemu przyjacielowi.

— Masz słuszność, mój kochany — rzekł odbierając odemnie papier i przyglądając mu się z upodobaniem.

— Ten pierścień, to niezwykły i oryginalny okaz artystyczny, spotykany gdzieniegdzie tylko jeszcze w Indyach. Znam się trochę na tych rzeczach. Ten rodzaj potwora, tu odtworzony, przedstawiać ma bożka indyjskiego, Sziwę, o rozlicznych ramionach i stopach. Sztuka indyjska posługuje się chętnie, przyozdabiając je bogactwem artystycznych szczegółów, wspomnieniami religii i ras już zagubionych. Pierścień ten bez żadnych wątpliwości musiał być niegdyś własnością jakiego brahmina ze świątyni bożka Siwy. Dlatego z łatwością możemy sobie wytłumaczyć zainteresowanie, jakiem jest otoczony i pragnienie posiadania go, dochodzące, aż do zbrodni.

— Sądzisz więc, że ten pierścień posiada wartość tak niezwykłą...

— Może nie sam przez siebie, ale wiesz zapewnie, że świątynie, poświęcone tym potwornym bożkom, zawierają bogactwa prawdziwe. Pierścień ten może być kluczem do takiego skarbca. Znam dobrze Ludovica Marmont i wiem, że nie pokusiłby się tak zuchwale o rzecz małej wagi — i jeżeli naprawdę jest on interesowany w tej sprawie.

— Czy jeszcze nie jesteś pewnym tego?

— Nie mam dotąd jeszcze podstaw do twierdzenia tego na pewno.

— Ależ Wiliamie, zapominasz chyba o bilecie jego wizytowym, przypiętym do ubrania uśpionego ajenta.

— Nie, nie! Nie zapominam o niczem! Ten bilet widziałem, ale to mnie jeszcze nie przekonywa wcale. Jest w tym gieście coś, co przypomina zuchwałość Ludovica Marmont, ale kto nam zaręczyć może, czy to nie jakaś kombinacya naszych przeciwników w celu wyprowadzenia nas w pole i skierowania naszych poszukiwań w mylnym kierunku.

— Podziwiam twój zmysł przewidywania, Wiliamie, ale...

— Nie, nie, mój kochany, nie powinniśmy się pozwolić zasuggestyonować nazwiskiem tego Marmont'a. Mam wrażenie, że przeciwnicy nasi są bardzo przebiegli i odważni. Jak dotąd nie posiadamy w rękach nic przeciw nim, oprócz tej pieczątki z zielonego laku, zapomnianej w pokoju pana d'Orwalda. To jest jeszcze bardzo mało, przyznasz sam. Wspomniałem przed chwilą o bogactwach nagromadzonych w świątyniach indyjskich i że pomiędzy niemi, a pierścieniem zamordowanego istnieć może łączność jakaś, bo przecież o drobną, pieniężnie bezwartościową rzecz nie morduje się ludzi — ale widzisz, Synhamie, to są tylko moje domysły...

Zdziwiony byłem bardzo ostatniemi słowami Tharpsa, gdyż niejednokrotnie twierdził przedemną i nawet przed inspektorem Cornet, że wypadki odegrane w pensyonacie Donay, jasne były dla niego zupełnie, a teraz widziałem w nim jakieś wahanie i niepewność.

Jakież myśli jeszcze i rozumowania błąkały się w jego niezmordowanym umyśle? Do jakich nowych kombinacyj dochodził?

To co mówił o niepewnej roli Lodovica Marmont w tej sprawie świadczyło, że pod tym względem nie wyrobił sobie jeszcze ustalonego zdania.

Dzień przedtem wybrał się ze mną na wyprawę nocną, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i zaciągnął mnie do siebie na obiad.

W sposobie jego postępowania widocznem było jakieś wahanie, niezgodne z dotychczasową jego energią i pewnością siebie, cechującą każdą jego działalność. I gdy teraz siedział zamyślony w fotelu, bezwładnym ruchem opuściwszy głowę na poręcz, przeczułem, że ogarnia go jakaś apatya i zniechęcenie.

Był to dla mnie tak dziwny widok i niecodzienny, że postanowiłem jakimkolwiek pytaniem zbudzić go z tego odrętwienia.

— Powiedz mi Wiliamie! — zacząłem — Dlaczego powróciliśmy wczoraj do domu? Zdawało mi się, że byłeś przygotowany na jakąś ekspedycyę?

Poruszył ręką w milczeniu, jakgdyby zabraniając mi mówić dalej i westchnął ciężko.

— Jesteś nieszczery ze mną, mój kochany.

— Mylisz się.

— Więc dlaczego nie chcesz odpowiedzieć na moje pytanie? Czy mylę się w przypuszczeniach?

— Nie, Synhamie, masz słuszność. W pierwszej chwili miałem zamiar zapobiedz zniknięciu profesora Schoetten.

Podskoczyłem na stołku zdumiony tą odpowiedzią.

— Nie! To niemożliwe!

— Owszem, mój kochany, to było możliwe do spełnienia.

— Byłeś więc tak pewnym, że profesora wykradną?

— Miałem wszelkie dane do przypuszczenia, że profesor zniknie w najbliższym czasie.

Zdziwienie moje ustąpiło; znałem na tyle Tharpsa, że wierzyć mogłem, że nie żartuje ze mnie, i że niema dla niego rzeczy nie do spełnienia.

— W takim razie — zauważyłem — źle uczyniliśmy, nie udając się tam. Byłoby to nam prawdopodobnie pomogło do do przychwycenia całej bandy.

— Jesteś zapalonym optymistą, Synhamie. Nie byłoby nam to przyniosło żadnych innych korzyści, poza temi, które przewidywałem, a bylibyśmy stracili sposobność dotarcia do tamtych.

Kończąc te słowa, wziął z półki, znajdującej się obok niego książkę w skórę oprawną i otworzył ją.

— Już dawno bardzo nie zajmowałem się tłumaczeniem Horacego. — rzekł poważnie — Oto zadanie, które mnie bardzo pociąga. Pogodna filozofia tego mędrca, dobrze podziałała na moje nerwy. Jakże daleko uniesie ona myśl moja od tych nizkich wyrachowań ludzkości, podłości i zbrodni, zbrodnych chciwością złota.

Zrozumiałem, że chciał pozostać w samotności i powstałem z krzesła.

(Ciąg dalszy nastąpi)





**Sezon wojenny w Krynicy:**

Grupa artystek i artystów przed teatrem w Krynicy (X) Dyr Dante Baranowski.

Grupa „karpatczyków“ na odpoczynku W pośrodku sanitaryuszka Zofia Kozicka, od początku wojny pełniąca służbę na froncie.

## Z podróży arcyksięcia Leopolda Salwatora po galicyjskim terenie naftowym.

(Do illustracyi na str. 9).

Podczas niedawnej podróży swojej dla inspekcyi szpitali i innych urządzeń sanitarnych w Galicyi arcyksiążę Leopold Salwator zwiedził także galicyjskie tereny naftowe w okolicy Drohobycza i Borysławia i inspekcyonował szpitale wojskowe w obu tych miastach. Oczywiście zainteresowały arcyksięcia także kopalnie nafty, tak cenne dla monarchi i ważne, a niezbyt dawno od inwazyi rosyjskiej wyzwolone. W Borysławiu oglądał arcyksiążę szyb „die Spring“, jeden z najlepszych w Borysławiu, dający dwieście pięćdziesiąt wagonów miesięcznie, wartości pół miliona koron, a zdjęcie nasze przedstawia arcyksięcia ze świtą i w towarzystwie personalu kopalni koło tego szybu.

## Zamęt wojenny na Bałkanie.

(Do illustracyi na str. 7)

Zamęt wojenny na Bałkanie trwa, a koalicya, która mu nie może położyć pomyślnego dla siebie końca, powiększa go o ile może. Popchnięcie przez nią Rumunii do wojny nie wystarczyło — Bułgarzy, którzy mieli być wzięci we dwa ognie — sami tymczasem zabrali Rumunii dwie wielkie twierdze i pograniczny pas kraju, podczas gdy Sarrail ze swojemi mięszanemi armiami nie może postąpić ani na krok na froncie salonickim. Więc Anglia i Francya wytężają wszystkie siły, środki i intrygi, aby jeszcze Grecyę wciągnąć do wojny. Ponieważ, jak dotąd, za-



**Z gospodarki najeźdźców na Bukowinie:** Obrona wsi

wiódł wewnętrzny nacisk na Grecyę — wszystkie te abdykacye, dymisye, rewolty Venizelosistów i tym podobnych — więc przyciska się obecnie Grecyę z zewnątrz od strony morza. Okręty wojenne angielskie i francuskie odwiedzają wszystkie po kolei porty miast greckich, ukazując im paszcze swych armat i możliwość zbombardowania, podczas gdy drugie statki zwożą ciągle potrzeby wojenne do Salonik dla armii, która Bułgarom jeszcze nic nie zrobiła, ale już zjadła i pochłonęła dziesiątki milionów. Czy te demonstracye flotowo-lądownicze wystarczą koalicyi, najbliższa to już zapewne przyszłość pokaże.

## Z gospodarki najeźdźców na Bukowinie.

Z zajętej przez Rosyan Bukowiny niezbyt częste nadchodzą wieści. Ale te, które nadchodzą, prawie bez wyjątku świadczą o bezwzględnej i barbarzyńskiej gospodarce najeźdźców w zajętym kraju. Nawet ludność rumuńska, która, zdaje się, powinna doznawać pewnych względów od Rosyan, skarży się na prześladowania z ich strony zarówno na majątku, jak na osobach. Naturalnie zaś, że majątek rządu austryackiego, wszelkie oznaki panowania Austryi nad krajem, szczególnie zajadłemu ulega tępieniu i zniszczeniu. Kiedyś opowieści o tej gospodarce najeźdźców, która zresztą nam w Galicyi jest tak dobrze znana, stanowić będą osobny zajmujący rozdział w historyi obecnej wojny.



**Z gospodarki najeźdźców na Bukowinie:** Zniszczony przez Rosyan pomnik, ze strąconym biustem cesarza Franciszka Józefa



**Wieści z niewoli rosyjskiej:** Grupa oficerów 13 p. p. znajdujących się, jako jeńcy, w miejcowości Wierchnija Mułły, gub. Permskiej.

# Kronika tygodniowa.

Nawiązując do wzmianki o wynurzeniach pana Wellsa o przyszłym pokoju, co poruszyłem w zakończeniu poprzedniej kroniki, zastrzegając sobie dalszy ciąg na przyszłość, wracam dziś do tej materyi ze względu na jej aktualność.

Ostateczny okres wyczerpania, w drugim lub trzecim roku wojny — twierdzi Wells — doprowadzi do osobliwych wybiegów. Żadna ze stron walczących nie zechce przyznać się do klęski, żadna też nie zechce przystąpić do bezpośrednich układów z przeciwnikiem. Pomimo to rozpoczną się powszechne rozmowy o pokoju, a obydwie strony zaczną drogą prywatną, to jest przy pomocy prasy neutralnej (o ile taka wówczas jeszcze będzie), oznajmiać o swych warunkach pokojowych.

Opinia publiczna Europy i Ameryki zacznie się coraz bardziej interesować zagadnieniami ustroju politycznego państw europejskich, a któreś z państw neutralnych zaprosi przedstawicieli mocarstw na konferencyę, celem prywatnej wymiany myśli w tej sprawie.

Układy pokojowe będą miały charakter niezwykły. Jednocześnie obradować będą dwie konferencye pokojowe, jedna mocarstw koalicyi, w Paryżu lub Londynie, druga, wszystkich państw walczących, w jednym z krajów neutralnych, najprawdopodobniej w Holandyi.

Wojna zaś toczyć się będzie swoją drogą.

Warunki pokoju będą się coraz bardziej wyjaśniały ku końcowi roku 1916. (Oby słowa jego się spełniły!... *przyp. zecera*). Wyczerpanie armii i społeczeństw dojdzie do tego stopnia, że wszyscy będą mówić tylko o pokoju, a myśl o nim górować będzie nad wszystkiem w pojęciach i działaniach ludzkich. Zycie w Europie stanie się nie do zniesienia.

Jak dotąd, zgadzam się z autorem, bo i mnie już wyłażą bokiem karty chlebowe, kawowe, cukrowe, tłuszczowe i jakie tam jeszcze będą w przyszłości, a aż mi się na płacz zbiera, gdy spojrzę na moje trzewiki, gdyż przypominają mi się słowa natchnionego poety:

„Kładę się!.. Buty otwierają łaty,
Kołków się szereg wysuwa zębaty,
A jeden słowo po słowie mi prawi:
— Popatrz, jak głód już wnętrzności me trawi,
Tydzień przemija, jak szwarcu nie jadłem,
Pożółkłem, cały zeschłem i pobladłem,
Boki się zewsząd otwierają moje...
I ty nic na to?"...

Oj, nic, gdyż dziś zwykłe podszycie butów kosztuje już prawie dwadzieścia pięć koron, a za parę nowych kamaszków mistrz szpadała żąda tylko... siedmdziesiąt. Chodzą już ludzie bez kapeluszy, bez kołnierzy i krawatek, gdyby nie zbliżająca się zima, wartoby zaprowadzić i modę chodzenia bez butów.

Nie ulega więc kwestyi, że „strasznych dożyliśmy czasów".

Dalej powiada pan Wells, że o decydujących zwycięstwach przestanie się nawet marzyć, a wojna przejdzie w ostatnie stadyum, gdy ustaną zupełnie wszelkie ataki i nastanie martwa cisza.

I tutaj, jak mi się zdaje, autor się pomylił, rok bowiem dziewięćset szesnasty zbliża się już ku końcowi, o pokoju się ciągle mówi i pisze, ale też dowiadujemy się ustawicznie o różnych zwycięstwach, które mogą i powinny być decydujące, n. p. na terenie rumuńskim.

Zacznie się walka — słowa pana Wellsa — o przewagę w przyszłości. Mocarstwa będą się interesować nie zwycięstwami i zdobyczami terytoryalnemi, lecz odzyskaniem sił ekonomicznych i reformami społecznemi.

Traktaty handlowe i układy o działaniach wzajemnych, zawierane pomiędzy sprzymierzeńcami, będą mieć znaczenie daleko większe, niż kwestya nowych granic i podbojów. Europa zrozumie, ale po niewczasie, że roztrwoniła niepotrzebnie większość tych zasobów, które dawały jej możność ściągać daninę z całego świata.

Rywalizacya o panowanie nad światem, która była przyczyną obecnej wojny, ustanie wskutek wyczerpania przeciwników, którzy będą mogli być porównani z owemi Radziwiłłowskiemi myszami, co się to nawzajem zjadły, tak, że z nich pozostały tylko dwa ogony. Za stołem, na którym kreślić się będzie nowa mapa Europy, zasiędą narody, wyczerpane niemocą. Dyplomaci na tej pogrzebowo-uroczystej konferencyi podobni będą do lekarzy, którym wypadło leczyć chorego, mogącego nie przeżyć operacyi...

Tyle pan Wells. Aczkolwiek jest on autorem powieści fantastycznych, w tym wypadku trzeba mu przyznać wiele racyi i zgodzić się na jego wywody. Europa, dzięki tej wojnie, zejdzie rzeczywiście na psy, wybiją się natomiast na pierwszy plan Amerykanie, którzy już na nas zrobili znakomity interes i chwalą sobie bardzo neutralność i Japończycy. — Jeśli kiedy, to teraz właśnie otwiera się im droga do zapanowania nad światem i kto wie, czy nie stoimy w przededniu owego żółtego niebezpieczeństwa, o którem tyle swojego czasu mówiono. — Anglia, prąc do wojny, chyba nie myślała, komu robi przysługę i że to kiedyś może się dla niej źle skończyć, gdyż, zamiast z Niemcami, będzie musiała rywalizować z Japonią, wychodzącą na arenę świa tową z zupełnie świeżemi siłami.

I ta właśnie krótkowzroczność angielskich polityków ogromnie mnie dziwi. Ja, będąc na ich miejscu, nigdy nie byłbym się wdawał w grę tak niebezpieczną i hazardową.

Bo, dajmy na to, czego jednak nie daj Boże, niech koalicya wyjdzie z walki obronną ręką, nie ulega kwestyi, że w krótkim czasie Anglia weźmie się za łby z Francyą, odwieczną swą nieprzyjaciółką, potem z Rosyą, z ognia zaś tego skorzystają Japończycy i upieką przy nim swą pieczeń, która już się przygotowuje.

Ale dość chyba na dziś tej polityki, zwłaszcza, że muszę kilka słów poświęcić jeszcze Rumunom, którzy już żałują, że się dali wciągnąć w wir walki i stanęli po stronie koalicyi. — Trudno jednak, już starożytni twierdzili, że niema tak wysokiego muru, którego nie przelazłby osioł, obładowany złotem. — Koalicya zasypała Rumunię obietnicami i złotem, mocarstwa centralne, nie chcąc pozostać w tyle, zasypują ją także, ale żelazem z bomb i to im się właśnie nie podoba. Udało się im wprawdzie wedrzeć się zdradziecko na Węgry i zająć niewielki obszar Siedmiogrodu, w Dobrudży natomiast biorą cięgi od Niemców i Bułgarów. Zwłaszcza ci ostatni mają z Rumunami sąsiedzkie porachunki z czasów ostatniej wojny bałkańskiej i bardzo chętnie teraz je wyrównają. Wówczas skorzystał rząd rumuński z osłabienia sąsiada i okradł go bezwstydnie, dziś ten sąsiad czuje się na siłach, by się upomnieć o swą własność.

Natomiast o Grecyi dotąd nic stanowczego nie możemy się dowiedzieć. Wiersi, jakie przychodzą stamtąd przez państwa neutralne, są tak sprzeczne, że trudno im dać wiarę. To jedno jest pewnem, że koalicya, dzięki swej bezwzględności, z jaką postępuje, coraz mniej zyskuje sobie tam przyjaciół.

Wszystko to jednakowoż nie wyklucza wcale możliwości skończenia się rychłego wojny i to w chwili, kiedy się tego będziemy najmniej spodziewać. A gdy to już nastąpi, nie braknie nam znowu materyału do kombinacyi, jak się po wojnie ułożą stosunki i jak będzie wyglądać przyszła mapa Europy. Pertraktacye pokojowe potrwają z pewnością nie krócej, niż obecna wojna, bo i dyplomaci będą się chcieli wtedy należycie wygadać. Nie wątpię, że na zaproszenie obu walczących stron i ja wezmę udział osobisty w konferencyi pokojowej, będę więc w tem miłem położeniu, że wiadomości czerpać będę z pierwszej ręki i co tydzień dzielić się niemi po bratersku z Szanownymi Czytelnikami.

Ale niech się to stanie jak najprędzej. Czarniejsza od najciemniejszej nocy melancholia ogarnia człeka, gdyż niema prawie tygodnia, by nie ugodził w nas cios, trudny do zniesienia, a będący następstwem wojny. Płakałem już wraz z piwoszami nad podniesieniem cen piwa, dziś przychodzi mi znów łzy ronić nad ograniczeniami, jakie zaprowadzono w jego wyszynku. Na mocy rozporządzenia władz wyższych wolno w lokalach publicznych podawać piwo tylko od godziny siódmej do dziesiątej wieczór i, choćby kto umierał z pragnienia, nie może na jedno posiedzenie „spuścić" więcej, jak jedną jedyną bombinę. Szczęśliwsi są już ci, którzy piwo biorą do domu, na osobę przypada bowiem cały litr.

— To straszne! — rzekł do mnie pan radca, cedząc w południe zamiast tradycyjnej bombki cienkiego szprycera.

— To okropne! — woła młodzian, który prosto z biura zwykł był pędzić „pod Obraz" lub „pod Palmę", by tam ugasić pragnienie i zwilżyć język, przysychający mu do podniebienia.

Niewiasty natomiast, którym przesiadywanie w knajpach ich mężów stało zawsze kością w gardle, są z tego rozporządzenia zadowolone, a członkowie „Eleuteryi" zacierają ręce z radości, choć i oni, jeśli nikt nie widzi, lubią też czasem łyknąć pilznera.

Od czegóż jednak głowa, a w tej głowie mózg. Jeśli kiedy, to teraz właśnie wysila on się, by złemu zaradzić. Czas szynkowania piwa zmienić się nie da, to trudno, można przecież tak się urządzić, iż wieczorem połknie się nie jedną, ale kilka bombek piwa.

I tak pan A. urządza się w ten sposób, że punkt siódma wypija bombę u Hawełki, drugą u Kuczmierczyka, trzecią „pod Obrazem", czwartą u Lewickiego, piątą u Wołkowskiego, szóstą u Frassa a siódmą u Suskiego i chwali sobie ten sposób spędzenia wieczoru, gdyż ruch dobrze mu robi, w każdym zaś lokalu spotyka innych znajomych i dowiaduje się od nich najświeższych nowości, które potem niesie dalej. Pan B. natomiast, przedkładający nad wszystko spokojny, siedzący żywot, już o siódmej jest wraz z całą rodziną, składającą się z ośmiu osób, przy swym zwykłym stole i dla każdej z nich zamawia według przepisu tylko jedną bombkę piwa. Rodzina musi się kontentować jedną, on wychyla resztę, a gdy mu jeszcze mało, posyła z domu po litr do innej „piwodajni", gdzie go też znają. Pan C. znowu, który jest tego zdania, że można się upić nawet codzień, byle tego nikt nie widział, nie wychodzi wieczorami wcale do miasta, ale co pół godziny posyła służącą z dzbankiem po dwie bomby, raz tu, to znów tam. Ustawy w ten sposób nie gwałci i pragnienie gasi należycie, do tego uchodzi jako wzór trzeźwości, nikt go bowiem dotąd pijącego w knajpie nie widział. Ma też zupełne prawo do wyrażania swego świętego oburzenia i ciskania gromów na pijaków. Jak się urządzają panowie D. E. F... aż do Z. tego wyliczyć już nie potrafię, ale w każdym razie mogę powiedzieć, że „na sposoby biorą się". Są ludzie, którzy bez swych kilku bombek dziennie nie potrafiliby się obejść, dla nich więc ostatnie rozporządzenie było prawdziwym ciosem, nic też dziwnego, że szukali sposobów, by ominąć Charybdę, a nie wpaść w Scyllę. A jest ona bardzo sroga, grozi bowiem karami pieniężnemi, aż do pięciu tysięcy koron, lub aresztem, zupełnie bez piwa!

Z powodu owego piwnego ograniczenia nie można było dotąd zająć się pilniej miejską polityką, a nadarzała się sposobność ze względu na posiedzenia Rady miejskiej, na którem z jednej strony radca dr. Lang, z drugiej zaś poseł Daszyński poddali druzgocącej krytyce pensyi i emerytury dla Wyskiego prezydyum.

Radca Lang omawiał sprawę ze stanowiska prawniczego, poseł Daszyński z ogólno ludzkiego i obaj doszli do jednej i tej samej konkluzyi, to jest, iż po pierwsze Rada miejska w tym stanie, w jakim jest, nie miała do tego prawa, po drugie zaś nie powinna tego była robić i do tego na pierwszem posiedzeniu, po ukonstytuowaniu się, gdy było wiele innych ważniejszych spraw do załatwienia. Są ciężkie czasy, to prawda, każdy stara się o podwyższenie swych dochodów, ale chyba pan prezydent Leo mógł poczekać jeszcze bodaj tydzień, lub nawet miesiąc, a nie byłby poniósł żadnej szkody, to bowiem, co było już raz postanowione, nie byłoby go z pewnością ominęło.

Spieszono się jednak, a ponieważ wszelaki pośpiech niewiele jest wart, stąd cała awantura w Radzie, która słusznie zupełnie napiętnowała postępek naszego areopagu, jak na to zasługiwał.

Panu prezydentowi nie musiało to być przyjemnem, w to wierzę, ale sam sobie winien, mógł przecież powstrzymać zapędy swych przyjaciół politycznych, którzy chcieli mu zrobić prezent, ale nie ze swojej kieszeni.

Powoli uspokoi się opinia publiczna, tym poruszona, nastaną normalne stosunki, ale kto wie, czy Wydział krajowy będzie tego samego zdania, co krakowska Rada miejska i czy zatwierdzi jej uchwały. Niedługo dowiemy się o tem, czekajmy więc cierpliwie, a potem znów do tej sprawy powrócimy.



Do dzisiejszego numeru dołączamy reklamę firmy **Prokop Skorkovský i syn**, dom eksportowy sukien, płóciennych towarów i modnych materyi męskich i damskich w Humpolcu w Czechach, znanej ze swej solidności, a przeto polecamy ją swym Czytelnikom, aby w razie potrzeby zwrócili się do niej i zapomocą karty dodanej do dzisiejszego numeru zażądali próbek.

# Zagadki do nagrody.

**Łamigłówka literacka.**
Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Wynaleźć tytuły utworów podanych pisarzy Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko i imię polskiego komedyopisarza.

Odyniec?
Prus?
Krasiński?
Fredro?
Eurypides?
Wyspiański?
Żuławski?
Reymont?
Goethe?
Odyniec?
Sienkiewicz?
Zabłocki?
Sofokles?
Gliński?

**Szarada.**
Ułożył S K. Gerzaldi, Kraków.

— Idź, otwórz, bo ktoś *druga-pierwsza,* lecz jeśli to wierzyciel, to powiedz, że mnie niema, kasa bowiem *druga-trzecia!* Wogóle nie lubię, gdy ta *pierwsza-trzecia* ludzi mnie nachodzi!.. Zrozumiałeś?.. Jeśli nie, to chyba u ciebie na szyi *pierwsza-druga-trzecia* zamiast głowy!..

**Kwadrat magiczny.**
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczenin. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, utworzą w rzędzie pionowym i poziomym pseudonim polskiej poetki.

□
— □ —
— — □ — —
□ □ □ □ □ □ □
— — □ — —
— □ —
□

*Znaczenie wyrazów:* 1. Spółgłoska. 2 Marszałek francuski 3 Pieniądz. 4 Szukany wyraz 5 Choroba. 6 Owad. 7. Samogłoska.

**Szarada.**
Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

*Pierwsze* brzmi tak. jak i *trzecie,*
*Drugie* obca to litera,
A w *całości* się zawiera
Urzędnik wyższy w powiecie.

**Logogryf.**
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczenin. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego kompozytora

□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —

*Znaczenie wyrazów:* 1. Kwiatek polny. 2. Imię żeńskie. 3. Potrawa 4 Zawód. 5. Król perski 6 Tragik grecki 7. Cesarz francuski 8. Wódz rzymski 9. Zwierzę przeżuwające. 10 Imię męskie 11 Gatunek soli 12 Wyspa europejska 13. Imię żeńskie 14. Płaz. 15. Ryba. 16 Muza. 17. Wyspa europejska.

**Okienko.**
Ułożył X Nilik, Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
d d g
g l l o o
p p p
t t w w y

*Znaczenie wyrazów:* 1 Filozof grecki. 2. Rzeka w Tyrolu 3. Miasto na Śląsku

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył S. Jelonecza, Wola Justowska.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Pan Canowa zgasił łomy orle i gałki mik! S. R.

**Bilety wizytowe.**
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

| I TAPINSKA |
|---|
| STAN. Z TIPEK. |
| PROT E UNOWSKY. |
| MARTA ANYSKA. |
| EWARYST OSKAR TONZ. |

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

# Rozwiązanie zagadek z Nr. 36

**Łamigłówka literacka:**

Abgar Sołtan.
Niedźwiecki.
Dygasiński.
Rodziewiczówna.
Zdziechowski.
Esteja.
Jeż
Fredro.
Reymont.
Eurypides.
Daniłowski
Rodziewiczówna
Orzeszkowa.

**Logogryf:**

W
E o l
W i d m o
K a n o p u s
S e b a s t y a n
C h ł o p i c k i
K a s s a n d r a
W e n e d o w i e
B l i ź n i ę t a
P u r s z c z a n
W e s p a z y a n
B r y g i d a
H y a d y
A r a
y

**Zadanie do przestawienia:** Kto się zada z plewami, tego świnie zjedzą.

**Okienko:**

S w i e r s z c z
w e i
i p m
e e o
r e p e r t n a r
s t o
z n d
c a e
z i m o r o d e k

**Zadanie do przestawienia** Gdyby nie grzech, toby człowiek dawno zdechł

**Trójkąt magiczny:**

S i e n k i e w i c z
I w o O d r o w ą ż
E s a d h a s z a
N a p o l e o n
K a r o l e k
I t a l i a
E n b e a
W i n o
I w o
C o
Z

**Zadanie do przestawienia:** Od zasiewów do żniw, nie każdy będzie żyw

**Bilety wizytowe:** Ławnik. Ułan. Archidyakon. Tapicer. Jubiler.

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp:* D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M Sokołowska Kraków. S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków. M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów M Golska Wiedeń. M Raczyńska Lwów. W. Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z. Małecki Lwów, S Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Wiewiórowski, Poznań**. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

## Głosy publiczne.

**Zakład dra Chramca w Zakopanem** przeszedł z dniem 4 b. m pod Zarząd Krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża Zakład prowadzonym będzie w dalszym ciągu jako sanatoryum wojenne dla żołnierzy, zagrożonych chorobą piersiową Kierownictwo objęło Biuro prezydyalne Czerwonego Krzyża w Krakowie z drem Witołdem Ziembickim na czele. Zakład mieści około 800 łóżek Aprowizacyę Zakładu i żywienie chorych prowadzi Czerwony Krzyż we własnym Zarządzie.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien **Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego**

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 331.

## C. SZCZURKOWSKI

**Kraków, Grodzka 2**

poleca:

**Wełny**, Włóczki do robót drutowych, Wyroby z wełny, to jest **Pończochy**, Rękawiczki, Cwetery i t. p.

**Miód**

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem. Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.

## KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

**Co trzeci dzień nowy program.**

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

**Branzoletka z zegarkiem i szkłem ochronnym**

kor. 6·—



kor. 12·—

Branzoletka z zegarkiem i rzemykami, duży format, K 6·—. Radiowy K 10·—. Branzoletka z zegarkiem, mały format K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—. radiowy K 10·— i więcej. Szkło ochronne K 2·— i więcej. Wojenny zegarek z dobrym werkiem Anker kor. 6·—. I. jakości K 10·—, prawdziwy srebrny K 20·—. Budzik kieszonkowy K 24·—, radiowy K 32.—. Odpowiednie skórzane rzemyki na rękę K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 8·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowania i porto opłacone do całych Austro-Węgier i w pole wysyła **I-szy skład zegarków wojennych**

**Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.**

Oryginalny cennik fabryczny darmo.

## BAZAR KRAJOWY

**KRAKÓW**

**ulica Szewska 22**

**: LWÓW :**

**ul. Akademicka 10**

**poleca najtaniej wyrobu krajowego:**

**Płótna, szyrtyngi, oksforty, płócienka, ścierki oraz bieliznę stołową, kilimy, portyery, serwety mohairowe i t. p.** 1

**SUKNA** płócienne towary i modne materye męskie i damskie poleca firma

**Prokop Skorkovský i syn**

**Humpolec, Czechy.**

Próbki na żądanie franko.



**Pewny skutek.** Tysiączne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający**. Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6/F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. Perfumerya pod „Kometą". **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem" ul. Krakowska 1, Perfumerya Sladowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. Kołomyja: apteka Łopołka, ul. Jagiellońska. Tarnów: droguerya Bracha. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anckerdrog.

WYROBY KRAJOWE

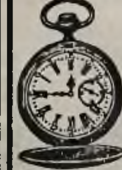
Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

**WIELKI WYBOR PERFUM.**

| | | |
|---|---|---|
| Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty. | Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby skórzane. Wielki wybór **torebek** damskich. | Wielki wybór **ZABAWEK.** **Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane. |

## 5 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła: **Pierwsza fabryka zegarków**

**Hanns Konrad**

**c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1569** Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker Kor. 6—, 7—, 8—, ze szwajcarskim werkiem K 7·—, 8·—, 9·—. Pamiątkowe zegarki niklowe lub stalowe Kor. 11·—, 12·—. Wojskowe zegarki z radium niklowe albo stalowe Kor. 12·—. Masiwne srebrne zegarki „Roskopf" K 19·—, 20·—. Budziki ścienne i stojące w wielkim wyborze po bardzo nizkich cenach. Na każdy zegarek 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

## RoweryRyval



**są przecież najlepsze!**

**K 145** kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami. Pompa polaniała, płaszcze na wszystkie ceny. Pedały za parę K 3·—. Łańcuchy K 3·50. Latarnia K 1·95. Rączki 30 hal. Ochraniacz od błota K 2·25. Lampy kieszonkowe i baterye, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr. 140 darmo i opłacony. Specyalne ceny dla kupców.

**Specyalny Dom przemysłu rowerowego**

**G. Wondrak**

**Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.**

Jedyny w Przemyślu który posiada własny wyrób trumien **Zakład pogrzebowy „Concordia"** **JAN SMYK**

Przeprowadza ekshumacye i transport zwłok z każdej miejscowości. Wyjaśnień udziela się chętnie. **Przemyśl, Rynek L. 16**

# DRUKARNIA

## D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

**ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479**

**zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego